

INFORMATOR 20.07.2010

Jarosław Kaczyński - opis stanu rzeczy

Dopiero co przegrał wybory z kandydatem salonu, którego ugrupowanie dzierży już całą pulę – parlament, rząd, prezydenturę, wszystkie liczące się instytucje państwowe. Dzisiaj Platforma ma poparcie salonu, lwiej części opiniotwórczych mediów, formalnego i nieformalnego kierownictwa Unii Europejskiej, Moskwy, wykształciuchów i autorytetów, więźniów i lemingów, szarych zjadaczy papki medialnej i wyrafinowanych koneserów życia.

A Jacek Żakowski, uosobienie tej salonowo-medialnej kamaryli wsparcia przez cały swój program i przez wszystkie przypadki odmienia jego nazwisko, niemal na okrągło dyskutuje z rozmówcami o Jarosławie Kaczyńskim. Nie o zwycięskim Komorowskim, nie o triumfującym kanclerzu Tusku, ale o przegranym, rzekomo marnującym kolejny raz swe szanse polityku. Podobnie jest dzień w dzień i rok w rok od wielu lat we wszystkich mediach.

To jest właśnie to, co określa miarę i wagę, format i kaliber człowieka oraz męza stanu, Jarosława Kaczyńskiego. Nieważne czy mówi, czy milczy – w jego milczeniu wsłuchują się równie uważnie, jak w słowa. Nieważne czy mówi prawdę lub nieprawdę ani o czym mówi - każde słowo jest ważne, oglądane, analizowane jednakowo starannie. Nie ma znaczenia, czy jest u steru władzy, czy poza nią, czy jego formalne wpływy są znaczące mniej lub bardziej albo nic nieznaczące – konsekwencje jego wypowiedzi są zawsze ważne.

Cała plejada salonowych publicystów żywi się nienawiścią do niego: od Kuczyńskiego, Wołka, Lisa, Paradowskiej aż do drobnych urbanowych cyngli, wszyscy oni żyją z postponowania tego człowieka. Gdyby nie on sam i strach elit III RP przed nim, Tusk skończyłby jako wicemarszałek Senatu, Lepper nigdy nie skończyłby jako wicepremier, a Mazowiecki nawet by nie zaczął. Osobiście wykreował dwóch prezydentów i co najmniej czterech premierów łącznie z sobą, założył dwie uczestniczące w rządach partie, stworzył całkowicie autorski projekt wizji państwa, które nazwano później IV RP.

Wygenerował takie emocje, że w jego krytyce dostojne autorytety zniżają się do poziomu meneli, a menele są zatrudniani przez polityków, żeby go niszczyć. Z jego powodu wybitni artyści uciekają się do politykierstwa, a politycy zniżają do poziomu wędrownych aktorów. Nawet zdeklarowani wrogowie przyznają mu wybitność i podejrzewają u niego jakiś biologicznie wbudowany talent polityczny.

Wspomniany na początku Żakowski, zakamieniały wróg Kaczyńskiego, wystawił mu kiedyś największą laurkę, jaką może otrzymać polityk od kogokolwiek: *nie jest politykiem jak inni, nie zdobywa władzy, by rządzić, chociaż możliwość rządzenia sprzyja jego celom. On chce zmieniać Polskę. Jarosław Kaczyński nie uprawia polityki, a metapolitykę.*

W swojej spektakularnej karierze ośmieszył w debacie Adama Michnika, upokorzył w wyborach Donalda Tuska, obnażył nicość autorytetów moralnych III RP. Chyba Rafał Ziemkiewicz wyraził opinię, że największym błędem salonu było odrzucenie Jarosława Kaczyńskiego – gdyby został zasymilowany w tym towarzystwie, do dziś sprawowałby rząd dusz w społeczeństwie.

Wszystko to prawda znana nie od dziś, a mimo to za każdym razem historia jakby zaczyna się od nowa. Dziennikarz prowadzi program, dochodzi kolejny raz do krzepiących wniosków, że Kaczyński wreszcie się skończył, że przepadł raz na zawsze, że już się nie podniesie. Radosna konkluzja jest przyklepana przez rozradowanych rozmówców, wszyscy rześcy i w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku oddają się zasłużonej rekreacji. Po czym dziennikarza znowu duszą we śnie zmyry, w mokrej pościeli miota się, a bladym świtem pędzi do redakcji robić program o...Kaczyńskim.

Zatrudnia się tabuny partyjnych i medialnych cyngli, żeby go opluwać, kopią go po nerach, tłuką pałami po łbie, nokautują, tańczą na jego politycznym grobie. A on, na domiar złego przygnieciony straszliwą tragedią, wstaje na nogi jak jakiś Feniks, wraca na ring i sam wymierza druzgocące ciosy.

Dzisiaj znowu nie mogą posiąść się ze zdumienia, że lekką ręką marnuje zdobyte w wyborach poparcie sondażowe. W głowie im się nie mieści, że są na świecie i w polityce rzeczy stokroć ważniejsze od sondaży i słupków. Że można mówić niepopularne rzeczy mając w rocznej perspektywie następne wybory. Tym się właśnie różni od Donka, Bronka, Władka i Tadka, że nie potrzebuje rekomendacji od kagiebisty, żeby zaistnieć.

On już wszedł do historii, mitu, encyklopedii oraz legendy o własnych siłach i pod własną banderą. Jarosław Kaczyński - skutek i przyczyna, alfa i omega, początek i koniec w polskiej polityce, tak przynajmniej wynika, gdy przyjrzeć się z boku publicystyce politycznej.

Ten tekst to nie jest panegiryk, pean ani laurka, to jest opis aktualnego stanu rzeczy w polskiej polityce. Emocjonalność tego tekstu, motyw przewodni oraz jego intensywność są ściśle proporcjonalne do wspomnianego stanu rzeczy.
[Napisany przez seaman, z 19-07-2010 20:18](#)

Cenzura bis?

Artykuł ten powstał dzięki kolejowej lekturze niewielkiej książeczki *Polityczna poprawność w III Rzeczypospolitej*, autorstwa J. Witek i Z. Żmigrodzkiego. Co ciekawe, mimo, że ukazała się w roku 2003, znalazła się w „taniej jatce” w Poznaniu. Jej wartość wyceniono poniżej ceny zwykłego biletu na tramwaj. Zlekceważenie tej pracy, to że nie stała się bestsellerem świadczy o tym, że wirus PC, dotarł już do Polski i powoduje nagminną (sterowaną) utratę przez Polaków zdrowego rozsądku i racjonalnego myślenia.

Zjawisko cenzury ma niewątpliwie bardzo długą tradycję, ale dla większości czytelników nieodłącznie kojarzy się z okresem PRL-u. Wtedy to doszło do stworzenia systemu opartego na wzorach sowieckich, którego celem było nadzorowanie wszelkich przejawów samodzielnego myślenia i brutalnego eliminowania opozycji. Decyzje o tym co mogło ukazać się drukiem, a co nie cenzorzy podejmowali nie kierując się zasadami prawa, ale prowadzoną w danym okresie polityką rządzących - czyli PPR, a potem PZPR. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk otrzymywał szczegółowe wytyczne co może być prezentowane czy publikowane od wydziałów KC PZPR lub PRL-owskich ministerstw. Cenzura interweniowała zawsze gdy : „godzono w ustrój państwa, ujawniano tajemnice państwowe, naruszano międzynarodowe stosunki państwa, naruszano prawo lub dobra obywateli lub wprowadzano w błąd opinię publiczną przez podawanie wiadomości niezgodnych z rzeczywistością”. Oczywiście sformułowania te w praktyce okazały się bardzo „rozciągliwe”. Jej działalność oparto na wytycznych dekretu z 1946 roku.

Aparat cenzury był przez lata rozbudowywany. Rosła też w zastraszającym tempie ilość jego pracowników.

Nawet powiatowe miasta miały swoich „cenzorów” zwanych „miejskimi kontrolerami treści”. Niektóre pisma kontrolowano nawet czterokrotnie i to na różnych szczeblach. Nawet sami cenzorzy byli kontrolowani- gdy „przepuścili” artykuł czy książkę zawierającą zakazane treści. Kontrolni podlegały nie tylko teksty publikowane, ale wszelkie media i instytucje. Były to: drukarnie, zakłady poligraficzne, radio, telewizja, kina, szkoły, wyższe uczelnie, kościoły. W przypadku wydawnictw wstępnej selekcji (a co zatem cenzury) dokonywał już sam redaktor naczelny, wiecznie zestresowany czy teksty spełniają wyznaczone kryteria ideologiczno-polityczne.

Straszne i smutne były to czasy, ale na nowych drukach proceder kontrolny się nie kończył.

Niemal od początku przystąpiono do „czystki” czyli opróżnienia bibliotek, księgarń, wydawnictw, szkół i innych placówek kulturalnych z wydawnictw „nieprawomyślnych”. To był to potężny cios dla naszej kultury narodowej z którego do dziś się nie podniosła! Na pierwszy ogień poszły biblioteki szkolne. Począwszy od wakacji 1949 roku (wybrano ten okres by zapobiec protestom nauczycieli czy uczniów) oczyszczano owe księgozbiory z jak to określono „książek religianckich”. W latach 1952-53 objęto „czystką” biblioteki publiczne, parafialne i księgarnie. Proceder ten trwał z dużym nasileniem aż do roku 1957. Tysiące tytułów w milionach egzemplarzy oddawano na makulaturę i niszczone. Niekiedy cały dorobek inkryminowanych autorów skazywano na zagładę. Tak było ze wszystkimi pracami zniechęconej przez komunistów Zofii Kossak Szczuckiej. Do tej pory jedynie cudem można odnaleźć pojedyncze egzemplarze książek, tej jakże poczytnej przed wojną autorki. Spisy usuwanych pozycji były ściśle utajniane. Jedną z list „książek zakazanych” z roku 1951 została jednak odkryta po roku 1990 w archiwach i opublikowana przez wydawnictwo Nortom. Było na niej prawie 2300 pozycji, w tym książki dla dzieci. Oczywiście na listę trafiły prace marszałka Józefa Piłsudskiego i traktujące o jego życiu, Legionach, prace Romana Dmowskiego (i wszelkie endeckie oczywiście). Ponadto duża część listy to książki traktujące o Żydach. Nawet bajki, związane z ludowymi przekazami uznawano za antysemityczne. Była to widać wyjątkowo drażniąca komunistów kwestia. Dalej szły prace o komunizmie i bolszewikach, książki wojenne (szczególnie te ilustrujące „cud nad Wisłą”, odzyskanie niepodległości w roku 1918), publikacje dotyczące dziejów Kresów (od dzieł i opracowań stricte naukowych po książki Kornela Makuszyńskiego jak „Uśmiech Lwowa”, nie mówiąc już o „Radosne i Smutne”). Tępiono prace o tematyce religijnej, hagiograficznej i w szerokim rozumieniu patriotyczne.

Dzisiejsze sterowanie społeczeństwem, fałszowanie przeszłości jest możliwe poprzez wyeliminowanie owych książek – nośników wiedzy o przeszłości, doświadczeń i tradycji narodowej.

Jak na ironię komunistom przeszkadzały też książki Heleny Mniszkówny czy poradniki dobrych manier jak ta: „O przyzwoitym zachowaniu młodej panienki i pielęgnowaniu zdrowia”, czy bajeczki dla dzieci Makuszyńskiego.

Zakaz czytania obejmował oczywiście także książki z za żelaznej kurtyny w tym : „Przeminęło z wiatrem” czy kryminały Agaty Christie. Cenzura odcięła intelektualistów (naukowców, historyków, ekonomistów...) na 50 lat od wiedzy i prawdy. Nie sprowadzano zachodnich czasopism naukowych. W poszukiwaniu pism emigracyjnych przeszukiwano na granicach walizki i torby. Zakaz pisania na niektóre tematy był tak szczelny, że ani pisarze, ani naukowcy rezygnowali z nawet delikatnych i zawoalowanych prób ich podejmowania.

Obowiązywała „czarna lista” autorów których dzieł nie wolno było wydawać np. Józefa Mackiewicza (prac na tematy kresowe), książek historycznych Brandysów, Stanisława Barańczaka, Adama Zagajewskiego. Aż wstyd wspominać jak zakończyła się nieśmiała próba powstrzymania szalejącej cenzury – „Protestu 34” z roku 1954.

Zakończył się on „kontr-protestem” zorganizowanym przez KC. Konkurencyjną listę i potępienie odważnych podpisało aż 600 pisarzy „konformistów”!!! Szkoda, że w świadomości Polaków nie zostały te nazwiska. Nieśmiałe „bunty” powtarzały się jeszcze w roku 1968 i 1969, ale zjawisko masowego protestu i stworzenia tzw. „drugiego obiegu” to dopiero koniec lat 70—tych. Tak czy

inaczej ustawa o cenzurze obowiązywała jeszcze po Magdalence. Dopiero w kwietniu 1990 roku Sejm zdecydował o ostatecznej likwidacji Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Czy jednak wraz z nastaniem III RP cenzura zupełnie znikła?

Otóż, niestety nie!

W miejsce cenzury instytucjonalnej wdarła się bowiem szturmem nowa cenzura, której faktycznie nie ma. Jest to nowa forma zniewolenia nazywa się „Political correctness”. Aby czytelnicy zrozumieli o czym mowa, krótka definicja. Political correctness zwane w skrócie PC, to konformistyczne uleganie presji radykalnych środowisk liberalnych propagujących otwartość na wszelkie typy ludzkie, różne style życia i ideologie. Jej zasadą jest przyjmowanie bez krytyki i szemrania wszystkiego co jest zgodne z aktualną modą i trendami. Wyznawcy tej doktryny uważają, że każdą sprawę da się rozwiązać pod warunkiem przyjęcia jedynie słusznej zasady niestawiania jakichkolwiek ocen moralnych czy rozpatrywania wydarzeń i postaw w kategoriach-dobro zło czy prawda i fałsz. Równocześnie eksponowana jest granic możliwości pojęcie wolności osobistej i dowolności własnych wyborów, bez liczenia się ze społeczeństwem, tradycją, narodem.

Aby nie zostać określonym jako „skrajny radykał” „uprzedzenie”, „oszołom” „bigot”, „dewiant”, trzeba być stale czujnym i uważać by czasem swoją mową i uczynkiem, nie urazić. A spektrum potencjalnych „obrażonych” wyznaczają obowiązujące mody. Musisz uważać co mówisz, co piszesz, co robisz, jak myślisz. Napastuj ludzi chodzących w futrach, selekcjonuj śmieci, nie używaj testowanych kosmetyków (zwierzątka), nie jedz mięsa (fermy- obozy koncentracyjne dla zwierząt, a poza tym jak je chowasz to zanieczyszczają atmosferę gazami), pokochaj homoseksualistów, pisz źle o Ruskich (bo to stale w modzie), ale o Niemcach i mniejszościach w superlatywach itp., itd.... Rasa płeć, orientacja seksualna, ekologia wszystko to staje się z niewiadomej przyczyny „polityczne”, zaś sprawy dużej wagi podlegają sterowaniu. Strach przed nazywaniem rzeczy po imieniu prowadzi do swoistej schizofrenii, a końcu do poczuciem lęku przed prezentowaniem publicznie (a czasem i prywatnie swojego zdania, z obawy przed ośmieszeniem. Ta zakaźna, epidemiczna choroba, atakująca mózgi przyszła do nas z USA i wyszlifowana w Europie Zachodniej objawia się zastępowaniem zdrowego rozsądku niedorzecznościami. Oparta na liberalnych, a często wręcz libertyńskich zasadach ideologia PC głosząc prymat wolności nad prawdą w sposób jednoznaczny burzy porządek moralny ludzi i społeczeństw, przekreśla chrześcijańskie wartości dobra i miłości. Popularyzując konsumpcjonizm, hedonizm i nieodpowiedzialność prowadzi do relatywizowania wszystkich wartości i odbiera możliwość odnalezienia autorytetów. Jeśli wszystko jest dobre i OK., to nieistotne czy ktoś jest porządny, uczciwy, moralny, czy pijak, narkoman, złodziej wszyscy wszak są OK. PC wydaje się wręcz opierać na różnorodności patologii i dewiacji moralnych i społecznych. Wprowadza też swoistą drażniącą nowomowę (podobnie jak przed laty komunizm) np. zamiast Murzyn- Afroamerykanin, zamiast Cygan - Rom, zamiast Żyd - Izraelczyk itp.

Jeszcze zabawniej wyglądają określenia np. grubas - „obdarzony grawitacyjnie”, aborcja - „obrona wolności kobiet”, biedny – „ekonomicznie upośledzony”, pijak – „człowiek przestrzennie zagubiony” lub „deficytowy dopaminowo”, inwalida – „sprawny inaczej”, oszust- „człowiek zaradny”, bezdomny – „przemieszczający się człowiek bez posiadłości”- można mnożyć w nieskończoność. Może nie wszystkie są już u nas obowiązujące, ale dzięki lekturze choćby Konstytucji Europejskiej zanurzamy się ponownie w ów świat postępującej paranoi.

Zapanowała moda na uciekanie od problemów. Wszystko ma być „ulizane”, gładkie, pozbawione napięć np. hasło : „wybierzmy przyszłość”. Propagowany przez orędowników tej ideologii feminizm, okazał się w praktyce jedynie wojną wydaną rodzinie przez propagowanie „nowego stylu życia” wyzbytego odpowiedzialności i rodzicielstwa. Nie bez powodu.... Człowiek posiadający rodzinę z reguły zaczyna trzeźwo patrzeć na rzeczywistość i nie daje się zwodzić. A takich chyba nie potrzeba...Dlatego walczymy do ostatniej kropli krwi z...urojoną homofobią... Ważne, a czy niewygodne dla tzw. „czynnika wpływu” sprawy spycha się „pod dywan”, nie ujawnia społeczeństwu Tworzy się świat z jednej strony odrealniony, postulowany, a z drugiej groźny, bo ogłupiający i łatwo sterowalny. Takie działania rodzą degrengoladę i oportunizm, bo nie wszyscy przecież głupieją w takim samym tempie. Opętana tą niebezpieczną chorobą umysłów Europa, a powoli i Polska oddala się od swej cywilizacyjnej kolebki, ateizuje się i deprawuje. Zawsze lepiej gdy rodzące się napięcia są rozwiązywane na bieżąco i nie pozwoli się im narastać w ukryciu udając, że ich po prostu nie ma. Pewnym otrzeźwieniem powinny być dla

nas skutki praktycznego działania PC w Holandii po zabójstwie wnuka Van Gogha. Za to na naszych oczach pełni się fałszowanie przeszłości i teraźniejszości. Pokaz owej poprawności mieliśmy niedawno na naszym rodzimym gruncie. Nikt prawie nie ośmielił się nazwać morderczych najeźdźców NIEMCAMI- kim więc byli-KRASNOLUDKAMI? Nie wolno nam dopuścić, by w imię jakichkolwiek wydumanych racji, w bezczelny sposób mieszano katów z ofiarami. Jest obojętne czy pod katów podstawimy Niemców, banderowców, ubeków czy komunistów. Niesądzony, a choćby moralnie nie napiętnowany kat –odpowie tak jak pewna Ukrainka w Porycku na pytanie jej ocalałych dawnych sąsiadów – „dlaczego żeście nas tak okrutnie mordowali, nic wam złego nie zrobiliśmy”? – bo tak było trzeba, takie były czasy....Takie nieukarane, społecznie naganne postępy rodzą jedynie deprawację w społeczeństwie i pytanie czy nie nadejdą dla Polaków znowu takie czasy „ kiedy- będzie trzeba?” W każdym wypadku w ofiara i jej otoczenie pozostaje z poczuciem oszukania i zdradzenia. Też na pokolenia.

Coraz mniej ludzi pamięta, że nie wszystko jest względne i są pewne niezmiennie punkty odniesienia. Prawda jest jedna, a podział na dobro i zło czytelny. Dla naszego kraju jest jeszcze nadzieja, bo nie wypleniono, tak jak z reszty Europy wiary chrześcijańskiej mimo wszystkie wysiłki. Ten kto jeszcze wierzy, nie zapomina o wartościach i na chorobę tę nie zapadnie. Ale trzeba być czujnym, bo hasła to co innego niż czyny- kto czytał w „Dzienniku Polskim” tzw. Listę Hausnera zastanowi się jak należy rozumieć demokrację w wydaniu członka „Partii Demokratycznej”. Taki popis obłudy, robi niewątpliwie wrażenie, ale nie zniechęca to jej członków do głoszenia hasła konieczności obrony kraju przed „oszołomami”... Rok 1995 uważa się za początek ery politycznej poprawności w Polsce (zakaz emisji WC –Kwadransa). Świadomie lansowany przez „Gazetę Wyborczą” i całą tą formację „demokratów” w różnych składach i układach – (ostatnio Partia Demokratyczna), kierunek myślenia, żeruje na ludzkiej bezmyślności i konformizmie. Część ludzi z lęku, wygody, czy braku wiedzy i siły podporządkowuje się bowiem dyktatowi „fałszywych autorytetów”, sterowanych z ukrycia przez owe „czynniki wpływu” dla przysłowiowego „świętego spokoju”. Przyjmuje do wierzenia jak biblię ich oceny, wartościowania, ogląd rzeczywistości. Jest to niewątpliwie rodzaj szantażu i ubezwłasnowolnienia społeczeństwa, choć nitki poruszające marionetki są niewidoczne. Niebagatelna rolę mają tu posiadane przez „rządców dusz” środki finansowe. Na te zaakceptowane, „poprawne politycznie” i zgodne z aktualnymi dyrektywami mocodawców” projekty, prace, książki zawsze znajdują się dotacje i stypendia z kraju i z zagranicy.

Co gorsza zdecydowana większość mediów (powiedzmy sobie w końcu szczerze- prawie wszystkie) reprezentują „jedynie słuszną” czytaj liberalną opcję. Artykułów i książek „niepoprawnych”, lub poruszających „niepoprawne” tematy nie dopuszcza się do druku (vide wieloletnie perypetie z wydaniem książki Siemaszków o Ludobójstwie na Wołyniu. Jeśli się nawet ukażą to od razu nastąpi ostry atak nie przebiegających w środku „różowych”. Do tego obawy śmiałków budzi możliwość bojkotu towarzyskiego, kary finansowe lub inne szykany.

Podobnie więc jak za komuny- są autorzy których cytować „nie wypada”, którzy nigdy nie dostaną cienia dofinansowania dla swoich książek. Są też tematy „tabu”, których poruszanie grozi ciężkim uszkodzeniem kariery, podobnie jak publikowanie na łamach niektórych „źle widzianych” pism. Takimi tematami są m.in. tematy żydowskie, tematy zbrodni popełnianych przez mniejszości na Kresach, problematyka kościelna, patriotyczna.

Nikt nie przywrócił po 1989 roku i już nie przywróci do bibliotek szkolnych i publicznych zniszczonych bezpowrotnie dzieł o tematyce patriotycznej. Nawet jeśli ktoś to robi to w minimalnych nakładach „drugiego obiegu – bis”. Są to najczęściej książki zgrzebnie wydane za własne pieniądze pasjonatów. Ogół czytelników z nimi raczej się nie spotka. Brak bowiem informacji o takich publikacjach w informatorach o książkach, bibliografiach zawartości czasopism. Pism „nieprawomyślnych” nie prenumeruje się w bibliotekach. Nie są recenzowane, ani cytowane w mediach. Cenzurą w tym wypadku staje się staje się milczenie.

Jest rzeczą niesłychanie niepokojącą, że matecznikiem PC stają się podobnie jak na Zachodzie uczelnie wyższe. Pracownicy naukowcy coraz bardziej boją się jej przeciwstawić z obawy o swe awanse czy nawet zatrudnienie. Słowa krytyki ustalonych przez PC reguł gry, wypowiedzenie swojego zdania, użycie słów „niepoprawnych” skończyć się bowiem dla nich mogą smutno. Nie opublikują ich książek, odwoływanie się do innych, od obowiązujących reguł (w tym łacińskiego chrześcijaństwa) skończyć się może posądzeniem o najgorsze przestępstwa jak faszyzm, szowinizm, seksizm, radykalizm, „oszołomstwo” i wszelkie inne zwyrodnialstwo i zepchnięciem na margines. Dlatego tematy humanistycznych prac naukowych są najczęściej nijakie, mało

ambitne, mało twórcze i nieciekawe i to wtedy gdy rzeczywistość, aż iskrzy, a całe hektary nieprzebadanych tematów leży ugięciem.

Napisany przez dr. Lucynę Kulińską.

z 19-07-2010 06:17

Klich nie zna abecadła konstytucyjnego

Tryb powoływania komisji do badania wypadków lotniczych w lotnictwie państwowym (w zakresie organów kompetentnych do jej powoływania) w ogóle nie jest przekazany przez ustawodawcę do regulacji w drodze rozporządzenia

Nagłośniony przez "Nasz Dziennik" przypadek wydania przez ministra obrony narodowej Bogdana Klicha rozporządzenia do ustawy Prawo lotnicze - bez wyraźnej delegacji ustawowej, a nawet wbrew jednoznacznym postanowieniom ustawy - pokazuje, że rząd Platformy Obywatelskiej ma duże problemy z legalizmem. To nie pierwszy taki przypadek. Podobnie było z głośną uchwałą Rady Ministrów, w której ministrowie "potwierdzili" uprawnienia premiera do ustalania delegacji Rzeczypospolitej Polskiej na szczyty UE czy NATO. W świetle Konstytucji członkowie rządu równie dobrze mogli w tej uchwale obwołać Donalda Tuska wielkim księciem inflanckim.

Okazuje się, że najwyżsi urzędnicy państwowi albo nie kojarzą podstawowych przepisów konstytucyjnych, albo celowo je ignorują. Tak czy owak, obie sytuacje i możliwości są dla nich dyskwalifikujące.

Dlaczego rozporządzenie ministra obrony narodowej, w którym przekazuje premierowi kompetencje w sprawie współpowoływania komisji badania wypadków lotniczych w lotnictwie państwowym, jest niekonstytucyjne? Bo ewidentnie łamie postanowienia przepisu art. 92 ust. 1 Konstytucji RP. Zgodnie z nim rozporządzenie wykonawcze wydawane m.in. przez ministrów w żadnym wypadku nie jest aktem samoistnym, tzn. minister nie ma swobody i dowolności w jego wydawaniu. Przeciwnie, rozporządzenie to akt normatywny wydany wyłącznie na podstawie wyraźnej delegacji ustawowej. Co jest w niej zawarte? Składa się ona z trzech elementów: wskazuje podmiot upoważniony do wydania rozporządzenia, przedmiot rozporządzenia (czyli co ma w nim być uregulowane), a co więcej - także wytyczne dotyczące treści aktu, ponieważ delegacja ustawowa nie może być blankietowa.

W związku z tym, aby minister obrony narodowej mógł wydać tego rodzaju rozporządzenie, w którym czyni z premiera osobę współkompetentną do powołania komisji badania wypadków lotniczych w lotnictwie państwowym i nadzorowania jej prac, to w ustawie Prawo lotnicze musiałby się znajdować mniej więcej taki oto przepis (tzw. delegacja ustawowa): "Inny, aniżeli określony w art. 140 ust. 1 ustawy, sposób powoływania Komisji, o której mowa w art. 140 ust. 1, w sytuacjach szczególnych, ustali minister właściwy do spraw obrony narodowej w drodze rozporządzenia".

Czy tego rodzaju przepis znajduje się w ustawie Prawo lotnicze? Oczywiście, że nie. Co więcej, tryb powoływania komisji do badania wypadków lotniczych w lotnictwie państwowym (w zakresie organów kompetentnych do jej powoływania) w ogóle nie jest przekazany przez ustawodawcę do regulacji w drodze rozporządzenia. Przecież przepis art. 140 ust. 1 wyraźnie i jednoznacznie stanowi, że "badanie wypadków i poważnych incydentów lotniczych w lotnictwie państwowym prowadzi Komisja Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego powoływana przez Ministra Obrony Narodowej w porozumieniu z ministrem właściwym do spraw wewnętrznych". Koniec i kropka, żadnych wyjątków i zastrzeżeń.

Zatem rozporządzenie ministra obrony narodowej z dnia 27 kwietnia 2010 r. to kolejny bubel prawny i przejaw niekompetencji urzędników PO w Radzie Ministrów, dowód braku znajomości podstawowego abecadła konstytucyjnego.

Zresztą to nie pierwszy przykład ignorancji prawniczej rządu PO. Przecież nie inaczej jak tylko w kategoriach nieudolności prawniczej należy interpretować głośną uchwałę Rady Ministrów, w której ministrowie "potwierdzili" uprawnienia premiera do ustalania delegacji Rzeczypospolitej Polskiej na szczyty UE, NATO itp. - uchwała ta została podjęta w momencie apogeum żenującej

walki Donalda Tuska ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim o "krzesła" w Brukseli i o samolot. Trzeba przecież zdawać sobie sprawę z faktu, że uchwała rządu jest tylko aktem prawnym wewnątrznie obowiązującym, czyli wiążącym wyłącznie jednostki organizacyjne podległe Radzie Ministrów. A przecież ani prezydent, ani Sejm, ani jakkolwiek inny centralny konstytucyjny organ państwa spoza władzy wykonawczej nie podlega Radzie Ministrów. Jakże zatem znaczenie miała owa głośna uchwała, która miała czynić z premiera de facto i wbrew Konstytucji RP niemal najwyższego przedstawiciela Rzeczypospolitej? Żadne. Równie dobrze ministrowie w tej uchwale mogli uczynić Donalda Tuska wielkim księciem inflanckim, niderlandzkim etc., etc. Po prostu tak się nie da, tak jak nie da się dołożyć premierowi żadnych innych kompetencji, które nie wynikają wprost z Konstytucji lub ustaw. Ale do tego, by to rozumieć, trzeba trochę edukacji, przynajmniej w zakresie źródeł prawa RP.

Dr Przemysław Czarnek. Autor jest konstytucjonalistą, pracownikiem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II.

Rostowski politykuje, a finanse państwa trzeszczą w szwach

1. Przypominacie sobie Państwo ostatnie 2 tygodnie prezydenckiej kampanii wyborczej, Marszałkowi Komorowskiemu nieustannie towarzyszył Minister Finansów Jan Vincent Rostowski. Szczególnie upodobał sobie konferencje prasowe, podczas których zajmował wspólną polityką rolną, poglądami brytyjskich torysów na najważniejsze polityki unijne, rabatem brytyjskim itp.

Dopiero wykazanie mu niekompetencji w sprawie problemu wyrównania dopłat bezpośrednich przez wiceprzewodniczącego Komisji Rolnictwa Parlamentu Europejskiego europoła Janusza Wojciechowskiego spowodowało, że zamilkł i przestał występować u boku Komorowskiego.

Okazuje się jednak, że kiedy minister finansów zajmuje się polityką, stan finansów państwa ulega systematycznemu pogorszeniu, choć jeszcze niedawno słyszeliśmy, że sytuacja budżetu państwa jest coraz lepsza i na koniec roku wielkość deficytu budżetowego będzie wyraźnie niższa o tej zapisanej w ustawie budżetowej czyli kwoty 52 mld zł.

2. Deficyt budżetu państwa na dzień 30 czerwca wyniósł blisko 37 mld zł, a więc aż 71% tego co zapisano w ustawie budżetowej, w sytuacji kiedy upływ czasu wynosi tylko 50%. Ale jeszcze bardziej niepokojące są informacje o niższych aż o 2 mld zł niż planowano dochodach budżetowych w szczególności z obydwu podatków dochodowych.

Wpływy z podatku PIT są niższe o 1 mld zł niż w analogicznym okresie roku ubiegłego, a wpływy z CIT są niższe aż o 3,5 mld zł. Przy tym trzeba wziąć pod uwagę, że w roku 2009 gospodarka rozwijała się w tempie zaledwie 1,8% PKB (w I półroczu nawet poniżej 1%) , a w tym roku rozwija się w tempie przynajmniej 3% PKB (taki wzrost PKB miał miejsce w I kwartale tego roku i podobny jest spodziewany w II kwartale), co powinno oznaczać znacznie wyższe wpływy z podatków dochodowych niż w roku ubiegłym.

Minister Rostowski jednak nie potrafi wyjaśnić tego swoistego fenomenu charakterystycznego chyba tylko dla gospodarki polskiej, że mimo wyraźnie szybszego rozwoju, wpływy z podatków dochodowych są wyraźnie niższe niż w roku ubiegłym.

3. Deficyt budżetowy byłby jeszcze wyższy gdyby wykonywano wydatki zgodnie z harmonogramem. Minister jednak w związku z brakiem pieniędzy spowalnia dokonywanie wydatków budżetowych i w połowie roku były one niższe aż o 6,5 mld zł od zaplanowanych. Gdyby one zostały wykonane deficyt budżetowy w połowie roku wynosił by już blisko 85% deficytu całorocznego.

Zresztą, w związku z wyrzuceniem części wydatków budżetowych poza budżet państwa (np. wydatków na drogi do Krajowego Funduszu Drogowego, którego zobowiązań wynoszących

już kilkanaście miliardów złotych minister finansów nie zalicza corocznie do wydatków budżetowych a tym samym i deficytu budżetowego) , tak naprawdę mimo podawania comiesięcznych informacji z wykonania budżetu państwa, trudno się zorientować jaka jest prawdziwa sytuacja finansów publicznych.

4. Nawet Rada Polityki Pieniężnej, w której przewagę mają przecież członkowie delegowani tam przez Platformę, dostrzega ten problem a jej członkowie mówią wprost o poważnych rozbieżnościach pomiędzy tym co się dzieje w finansach publicznych w rzeczywistości i tym co publikuje minister finansów.

W opublikowanym właśnie na stronach NBP opisie dyskusji na ostatnim posiedzeniu Rady w dniu 30 czerwca wprost mówi się konieczności zaostrenia polityki pieniężnej banku centralnego w sytuacji kiedy minister finansów „prowadzi podwójną księgowość” i nierzetelnie informuje o stanie finansów publicznych.

5. Widać więc, że intensywne uczestniczenie w polityce nie tylko nie służy samemu ministrowi finansów (naraził się na zarzut niekompetencji) ale także wyraźnie nie służy polskim finansom publicznym.

Znacznie lepiej byłoby i dla ministra i dla finansów publicznych gdyby wyjął z szuflad te dawno już zapowiadane projekty ustaw mające uzdrawiać finanse publiczne, których do tej pory nie składał tylko z tego powodu, że miał je wetować Prezydent Lech Kaczyński.

Istnieje jednak poważna obawa, że tych projektów zwyczajnie nie ma, bo Minister Rostowski bardziej do tej pory zajmował się polityką, kampanią wyborczą, atakowaniem opozycji, niż merytoryczną pracą w swym resorcie.

Napisany przez Zbigniew Kuźmiuk, z 20-07-2010 10:46

"Śledztwo"

Dokładnie ogrodzony i ściśle strzeżony teren. Większe elementy rozbitego samolotu wędrują do hangaru. Rusza tyraliera ludzi, którzy każdą najdrobniejszą część, skrawek materiału pakują do specjalnych torebek z tworzywa. Zostaną one sfotografowane, opisane i skatalogowane.

Teraz nadchodzi czas na fizyków, chemików, specjalistów od materiałów wybuchowych, katastrof lotniczych i zamachów terrorystycznych. Trwa burza mózgów. Grzeją się mikroskopy elektronowe, spektrometry, spektrografy, spektroskopy. Wre żmudna praca mająca na celu dokładne ustalenie przyczyn katastrofy.

W tym czasie trwa autopsja ciał ofiar katastrofy. Pełne ręce roboty mają medycy sądowi i patomorfolodzy. Do zakończenia tych wszystkich czynności wymagających mrówczej pracy nikt poważny nie wyklucza żadnej hipotezy, ani nie przesądza o niczym z góry.

Zadecydować może drobiazg w postaci wadliwych nitów czy jak w przypadku Concordea, kawałek tytanowej blachy wielkości linijki.

Tak dzieje się w cywilizowanym świecie. Wiedzą o tym doskonale polscy politycy i dziennikarze. Wiedzą również miliony polskich obywateli. Dokumentalna seria „Katastrofy lotnicze” emitowana jest na Discovery od lat.

Co robić, kiedy wrak niszczy na smoleńskim lotnisku, a teren katastrofy zaorano jeszcze zanim go dokładnie przeszukano? Co robić, kiedy jest polskie śledztwo, ale prokuratorzy pełnią rolę

petentów? Co robić, kiedy obiecana ścisła współpraca i udział polskich prokuratorów we wszystkich czynnościach procesowych wygląda tak, że w Moskwie nie ma żadnego z nich?

Co robić, kiedy już wyraźnie widać, że zabrakło „mędrca szkiełka i oka”, woli i odwagi?

Do boju muszą ruszyć odpowiedzialne i niezawodne „polskie elity”.

Waldemar Kuczyński:

„ Gdybym był na miejscu Rosjan i słyszał te bzdury o zamachu, to też bym tych skrzynek nie oddał”

„Załamał się formalny system dowodzenia statkiem powietrznym. Dowódcą statku został prezydent Lech Kaczyński, a dowódcą operacyjnym gen. Błasik”

Lech Wałęsa:

„ Jeśli klucz zostanie upubliczniony, to znaczy rozmowa braci, to będzie wszystko jasne. To będzie klucz do wszystkiego. Tam była konsultacja i były stwierdzenia, co do dalszego działania, ja nie mam najmniejszych wątpliwości i to trzeba sprawdzić i pokazać”

„To Jarosław Kaczyński zlecił pilotom Tu-154 lecącym do Smoleńska lądowanie. Lech Kaczyński z pokładu samolotu zadzwonił do brata, co robić, bo piloci odmówili lądowania”

To wszystko, czego jesteśmy świadkami odbywa się w XXI wieku, w ponoć demokratycznym państwie prawa, członku UE i NATO.

Każdy, kto ośmieli się powiedzieć, że mu się to nie podoba lub wygląda to dziwnie, brany jest na stronę przez dziennikarską i politykierską brać i przesłuchiwany, póki, co bez 200 watomiej żarówki świecącej prosto w oczy.

Napisany przez kokos26, z 20-07-2010 10:37

Smoleńsk. Przyczynę do tragedii.

Dziś na stronie internetowej portalu [Fakty-Grudziądz](#) znalazłem artykuł traktujący o katastrofie w Smoleńsku. Jest on jednym z niewielu (w oficjalnych mediach), który w ogóle dopuszcza możliwość ewentualnego zamachu i próbuje odpowiedzieć na podstawowe pytania towarzyszące takiej teorii. I chociaż autor w moim odczuciu pisał zgodnie ze swoim punktem widzenia (nie badał całej sprawy, tylko argumentował całość w sposób, który raczej wykluczał ewentualny zamach), to należą mu się słowa uznania za sam fakt poruszenia tej sprawy na forum publicznym.

Korzystając z okazji chciałbym podjąć polemikę z p. Mikołajem dotyczącą katastrofy w Smoleńsku. Na moment również przyjmę, że to był zamach i postaram się odpowiedzieć na kilka podstawowych pytań. Nawet jeśli nie przyniesie to przełomu, z pewnością wzbogaci dyskusję publiczną i pozwoli zainteresowanym spojrzeć szerzej na problem i ewentualnie zająć swoje stanowiska. W końcu taki jest sens debaty.

1) Zamach - Zakładając, że miał on miejsce, musimy zastanowić się nad tym, kto mógłby go przeprowadzić i jaki miałby w tym interes. Do dziś detektywi w pierwszej kolejności sprawdzają osoby, które w danej sprawie zyskują najwięcej. Proponuję zastanowić się chwilę nad tym. Analizując politykę Lecha Kaczyńskiego (zakładam, że zamach był wymierzony przede

wszystkim w Prezydenta) w czasie jego kadencji możemy napisać spokojnie, że pilnował interesu Polski. Tym samym był niewygodny dla innych krajów, które rościły sobie większe prawa niżli Polska. Spośród takich mogę wymienić tylko dwa w najbliższym sąsiedztwie oraz dwa w sąsiedztwie "dalszym". W pierwszym szeregu na twardej postawie Polski traciły Rosja i Niemcy, w drugiej zaś kolejności Francja i Włochy. Jeśli chodzi o Niemcy (i w zasadzie inne duże kraje Europejskie) to z pewnością należy przywołać sprawę tzw. "pierwiastka" oraz Traktatu Lizbońskiego. Musze tu przypomnieć, że Lech Kaczyński był współtwórcą Traktatu z Lizbony. W związku z tym był jedną z niewielu osób w Europie (!), która doskonale znała treść tego dokumentu i potrafiła wyciągnąć z niego przepisy przynoszące Polsce korzyści. Druga sprawa to wspomniany wyżej "pierwiastek". Chodzi tu o przelicznik siły głosu danych państw członkowskich UE. W wyniku walki o ten "pierwiastek" Polska zyskała znacznie korzystniejszą (w stosunku do Niemiec) siłę głosu. Z całą pewnością nie było to Niemcom na rękę.

Jeśli zaś chodzi o Rosję, to chyba nie będzie tajemnicą, jeśli napisze, że od setek lat Polska i Rosja miały napięte stosunki. W ostatnich latach możemy przywołać takie sprawy jak blokada na towary rosyjskie (głównie mięso), blokowanie rozmów UE z Rosją w sprawie gazociągu Nord Stream, czy nawet postawa Polski (a właściwie jej Prezydenta) wobec konfliktu w Gruzji. Przypomnę tu, że całą Europa została wówczas sparaliżowana i podjęcie jakichkolwiek działań zajęło jej blisko tydzień. Lech Kaczyński wraz z głowami państw nadbałtyckich do Gruzji poleciał niezwłocznie, co zablokowało działania Rosji (mówiąc wprost, Kaczyński i inni notable Europejscy stali się "żywymi tarczami" przez które Rosja strzelać się nie odważyła). Może i to nie uratowało Gruzji, ale z pewnością zmniejszyło jej straty i być może uratowało życie prezydentowi tego kraju (którego Rosja próbowała obalić zmuszając go do rozpisania ponownych wyborów [w pierwszych kandydat popierany przez Moskwę przegrał])

Jeśli chodzi o Francję i Włochy, to uważam że ich udział w tej sprawie jest mało prawdopodobny. Nie nadepnęliśmy im specjalnie na odciski. Jediną sprawą korzystną dla nas, a niekorzystną dla nich był "pierwiastek" opisywany wyżej.

Tyle jeśli chodzi o ewentualnych zamachowców spoza Polski. Jeśli zaś chodzi o nasze podwórko, sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. W naszym Parlamencie mamy obecnie 4 partie. Koalicja PO i PSL siłą rzeczy nie może darzyć sympatią opozycyjnego PiS. I to właśnie PO zyskałoby najwięcej na porażce PiS. Sytuacji, w której partia Kaczyńskiego sama sprowokowałaby zamach nawet nie zakładam, bo byłoby to dla mnie poza wszelką logiką. Jeśli chodzi o SLD, to pamiętajmy że w wyniku katastrofy życie stracił ich kandydat na prezydenta. Jest to mało prawdopodobne, aby SLD przyłożyło do tego rękę. Jeśli chodzi o PSL, to tutaj mam mieszane uczucia. Ta partia nigdy specjalnie nie afiszowała się ze swoimi poglądami ani działaniami. Zawsze działała po cichu i najczęściej w jakiejś koalicji. Jednak ich korzyści wynikające z zamachu były mizerne (co jeszcze potwierdziły wybory). Jeśli już szukać winowajcy w Polsce, to należałoby przyrzeć się dokładniej tym, którzy najwięcej zyskali, czyli PO. Przypomnę przy okazji, że na pokładzie z ramienia PO zabrakło czołowych ich polityków. Zamiast ministra Sikorskiego leciał jego zastępca. Może to przypadek, a może działanie zamierzone.

W sieci istnieje już podobna publikacja, która założyła, że to był zamach i zaczęła przyglądać się bliżej osobom, które mogły mieć w tym jakikolwiek udział. Zachęcam do zapoznania się z tym opracowaniem: www.niepoprawni.pl

2) Jaki mógł być cel zamachu? To jest bardzo ważne pytanie. A odpowiedź jest prosta. Zamach miał na celu zniszczyć Prawo i Sprawiedliwość. Przypomnę, że na pokładzie samolotu poza Prezydentem i grupą (czołowych) posłów PiS miał znajdować się także prezes tej partii, Jarosław Kaczyński. Życie paradoksalnie zawdzięcza chorobie swojej matki. Gdyby jednak był na pokładzie samolotu, obaj bracia straciliby życie. Istnieje spora szansa, że ta partia nie podniosłaby się po tym wydarzeniu. Jeśliby dodać jeszcze (kolejne) medialne ataki możliwe, że zniknęłaby ze sceny politycznej. To jest moim zdaniem powód najbardziej prawdopodobny.

Drugim, zbliżonym i jednocześnie nie wykluczającym się jest obecność pewnych osób "niewygodnych". Zwróćmy uwagę, że na pokładzie poza działaczami PiS znajdowały się także osoby o sporych zasługach w walce z komunizmem i służbami minionego ustroju. Jako przykłady mogę wymienić chociażby p. Kurtykę (prezes IPN), czy p. Annę Walentynowicz (legenda Solidarności). Są w Polsce i w Rosji pewne środowiska, które wiele dałyby za zniknięcie tych osób. Dodajmy do tego jeszcze obecność prezesa Banku, czy dowódców wojskowych i mamy bardzo obszerną listę osób strategicznych, których usunięcie mogłoby nie tylko podłamać Polskę, ale także umożliwiłoby przejęcie wolnych stanowisk i obsadzenie ich ludźmi "wygodniejszymi", czy też bardziej "ugodowymi". To dałoby kontrolę tych środowisk nad ważnymi instytucjami w Polsce.

Jest jeszcze jedna możliwość, która jest moim zdaniem mniej prawdopodobna, ale nie można jej wykluczyć. Zakładam, że PO mogło być bardzo zdeterminowane, aby przejąć pełną władzę w Polsce i zaryzykować taki bieg wydarzeń, aby doprowadzić do wcześniejszych wyborów (po ostatnim wywiadzie z J. Kaczyńskim, który mówił o ściganiu się Tuska z jego delegacją na drodze do Smoleńska w dniu katastrofy zacząłem nieco inaczej patrzeć na partię D. Tuska i jego osobę). Dlaczego? Aby mieć swojego prezydenta, który nie będzie przeszkadzał we wprowadzaniu "naszych" ustaw. Dlaczego tak im na tym mogło zależeć? Bo w Polsce jest spora liczba biznesmenów i ludzi, którzy nie tylko pomogli PO wybić się na scenie politycznej, ale także wyłożyli grube pieniądze, aby mieć z tego korzyści. Korzyści, których po 3 latach nie widać, bo ktoś nieustannie blokował wprowadzenie odpowiednich ustaw.

3) Co przemawia "za" zamachem? W zasadzie bardzo dużo. Od dnia 10 kwietnia mieliśmy nieustannie do czynienia z dezinformacją. Pamiętacie jak różne media podawały, że samolot podchodził po kilka razy do lądowania? Kto w ogóle takie informacje puszczał w eter, skoro wszyscy tam obecni doskonale wiedzieli, że nic takiego miejsca nie miało? Jednak manipulowanie informacjami to jedno, a działania to drugie. Skupmy się na nich.

Przypomnijmy sobie, jak zaraz po tragedii Rosjanie wkręcali żarówki do urządzeń, które miały naprowadzać samolot. Tylko szczęście sprawiło, że na miejscu był białoruski dziennikarz (który podobno później zniknął) i wykonał to zdjęcie. Inaczej nie mielibyśmy o tym pojęcia. Podobnie jak o strzałach na miejscu wypadku. Wiemy o nich tylko dzięki amatorskim filmom i co więcej, wszyscy eksperci zgodnie podają, że to są prawdziwe strzały. Do dziś jednak nie wiemy z jakiej broni pochodzą. Rosjanie do dziś nie oddali Polsce broni poległych w Smoleńsku funkcjonariuszy BOR. A to rzekomo z ich broni pod wpływem ognia (a pożaru praktycznie nie było) dochodziło do wystrzałów.

Do dziś również nie mamy żadnych informacji co do ciał kilku ofiar. Nie wiem czy pamiętacie Państwo, że na kilka dni po tragedii ogłoszono, że odnaleziono blisko 90 ciał. Kilku brakowało. I należy zastanowić się, co się z nimi stało. Wyparować nie mogły, kompletnemu spaleni najprawdopodobniej także nie uległy. Pozostaje tylko możliwość, że zostały rozcłonkowane na bardzo drobne fragmenty. Jednak badania DNA wykazałyby tożsamość tych osób. A do dziś danych nie mamy.

Czarne skrzynki to kolejna niewiadoma. Rosjanie zabrali je z miejsca wypadku, a nam udostępnili jedynie kopie zapisów. Możliwe, że te kopie były zmanipulowane. Przypomnę, że w wersji jaką otrzymaliśmy za pierwszym razem, zabrakło 16 sekund materiału. Dano nam co prawda drugą kopię (już z tymi sekundami), jednak jaka jest szansa, że skoro za pierwszym razem było coś nie tak, tym razem możemy wierzyć w te zapisy? Dlaczego do dziś nie odzyskaliśmy samych skrzynek?

Wrak samolotu. Rosjanie już szykują się, aby go zezłomować. A śledztwo trwa. Czy mają coś do ukrycia? Warto tutaj przypomnieć, że po katastrofie znaleziono wiele fragmentów samolotu, ale po rekonstrukcji (pozбиieraniu fragmentów i ułożeniu ich w taki sposób, aby było widać zarys samolotu) widać, że nie znaleziono kokpitu, w którym przebywali piloci i znajdowało się najwięcej urządzeń. Co się stało z tym (dosyć dużym) fragmentem samolotu?

Podobnych drobiazgów jest dosyć dużo. Oczywiście wiem, że Rosja to kraj o innej mentalności i innych procedurach. Jednak niedopatrzenia jakich się dopuszczali podczas chociażby sekcji, przesłuchań rodzin, czy nawet ubieraniu zmarłych wołają o pomstę do nieba. Podobno przeprowadzano sekcje zwłok. Jednak dziś niektóre rodziny wątpią w to i chcą dokonywać ekshumacji (trumny od momentu zamknięcia w Moskwie nie zostały otwarte. Rodziny nawet nie mają pewności, że chowali swojego bliskiego). Podczas przesłuchań rzekomo traktowano rodziny jak podejrzanych. Córka p. Wassermana opowiadała w wywiadzie, że Rosjanie sugerowali jej także, aby zgodziła się na spalenie ubrań i innych przedmiotów osobistych ojca (Bo podobno były nadpalone lub w bardzo złym stanie). I zgodziła się. A później okazało się, że chociażby portfel, czy wizytownik były w stanie nienaruszonym (choć znajdowały się w podobno zniszczonym i spalonym ubraniu). A jeśli chodzi o ubranie zwłok, to pomnę, że rodziny nawet ich nie widziały po powrocie z Moskwy. Ale dla przykładu po 3 miesiącach od pogrzebu rodzina Gosiewskich otrzymała z Moskwy garnitur, w który miał zostać ubrany zmarły poseł Gosiewski. Skąd takie niedopatrzenia?

Jest jeszcze jedna istotna sprawa, którą chciałbym poruszyć. Chodzi o samą procedurę lądowania, zarówno samolotu polskiego, jak i lądującego chwilę (około 2 minuty) wcześniej samolotu Rosyjskiego. W Internecie znajduje się analiza całości tego zdarzenia i jest opisana rzetelnie, w oparciu o fakty, a nie medialne doniesienia. Szczerze polecam zapoznanie się tym opisem: www.smolensk-2010.pl. Sam nie potrafiłbym przedstawić tego w tak czytelny sposób.

Reasumując powyższe, wiele wskazuje na to, że zamach mógł mieć miejsce. Nie chce przesądzać żadnej teorii, nie chce też szukać na siłę winnych. W artykule przedstawiam tylko kilka możliwości i staram się wyjaśnić ewentualne motywy. Ponadto wskazuje na pewne zaniedbania. Być może są one winą naszego rządu, być może winą leży po stronie rosyjskiej. Nie mam jednak wątpliwości, że jest ich dużo. W mojej ocenie zbyt dużo.

A jeśli już chcielibyśmy szukać zamachowców, to na podstawie analiz, logiki, niedopatrzeń i interesów w pierwszej kolejności zacząłbym przyglądać się linii PO-Rosja. Bo to właśnie na tej linii tragedia przyniosła największe korzyści, a samo śledztwo jest przez te strony "najluźniej" traktowane. Szkoda, że nie utworzono międzynarodowej, niezależnej komisji. Przez to śledztwo w sprawie Smoleńska przypomina mi trochę śledztwo w sprawie Katynia. W obu przypadkach to Rosjanie prowadzili śledztwo wraz z Polakami. W obu przypadkach pojawiały się wielkie niedopatrzenia i nadużycia. Ale póki co, tylko w jednym przypadku okazało się, że śledztwo było farsą. Fakt, potrzebowaliśmy na to 70 lat. Ciekaw jestem, co o Smoleńsku będą mówić nasze wnuki.

Napisany przez Paweł Witkowski, z 20-07-2010 08:10

Śledztwo jak z czasów PRL

Rodziny ofiar polskich żołnierzy zamordowanych przez NKWD, próbujące dowiedzieć się czegoś o losie swych bliskich, spotykały się w PRLu z agresją władz, arogancją i wrogością prokuratury. Służyło to upokorzeniu ich i zadaniu dodatkowego bólu bliskim zamordowanych. Dziś w nowoczesnym europejskim kraju z podobnymi problemami borykają się rodziny tych, którzy zginęli w katastrofie smoleńskiej.

Z wywiadu, jaki Fronda.pl przeprowadziła z Magdaleną Mertą, wdową po wiceministrze kultury, wyłania się przerażający obraz. Rodziny na każdym kroku spotykają się ze złośliwością prokuratury, oschłością, arogancją, ignorowaniem wniosków i próśb o akta. Udostępnia im się tylko jedną kopię materiałów, wbrew prawu nie dopuszcza do tajnej części akt. Śledztwo prowadzone jest w sposób chaotyczny, nie ma w nim żadnej myśli przewodniej, nie sprawdza się ważnych dla końcowego wyniku wątków, a przykładą wagę do zupełnie nieznaczących

doniesień. Rodziny nie mają żadnej możliwości wpływania na przebieg śledztwa, ani dyscyplinowania śledczych, by ci nie łamali ich praw.

Wśród przekazanych Polsce materiałów wciąż nie ma najważniejszych dla śledztwa akt. Większość z 1300 stron nie wnosi niczego do śledztwa, a Polska nie otrzymała m.in. czarnych skrzynek, dzięki którym polscy śledczy mogliby ustalić, czy przekazany nam stenogram nie został zmanipulowany. Wrak samolotu nie został przebadany, na miejscu tragedii wciąż znajdują się szczątki maszyny. Teren katastrofy wciąż nie został należycie przeszukany. Rosja nadal nie zgadza się na wyjazd polskich archeologów do Smoleńska.

Choć w katastrofie smoleńskiej zginęli najważniejsi ludzie w Polsce, rząd i sam Donald Tusk odcinają się publicznie od śledztwa. Prośby i apele do rządu o podjęcie akcji związanych ze sprawą, np. złożenie wniosku o wydanie Polsce wraku Tupolewa, Kancelaria Premiera zbywa stwierdzeniem, że to nie ona prowadzi śledztwo.

"Zarówno Polacy, jak i Rosjanie zachowują się tak, jakby mieli wiele do ukrycia" – tak mówi Magdalena Merta.

"Zachowanie prokuratury jest upokarzające i dodatkowo bolesne"

O przebiegu śledztwa w sprawie przyczyn smoleńskiej katastrofy, współpracy z prokuraturą i działaniach rządu – mówi portalowi Fronda.pl Magdalena Merta, wdowa po wiceministrze kultury.

Frona.pl: Jaki jest Pani status w śledztwie dotyczącym przyczyn katastrofy smoleńskiej?

Magdalena Merta: Tu w Polsce z mocy prawa bliscy ofiar tej tragedii mają status osoby pokrzywdzonej.

Daje nam to prawo do wglądu w akta, zarówno w część jawną i niejawną. Tak przynajmniej stanowi prawo.

Inaczej jest ze statusem pokrzywdzonego w Rosji. Tam musielibyśmy się starać o niego. Nie jesteśmy przekonani, czy należy to robić. Z jednej strony dawałoby to nam prawo wglądu w akta śledztwa rosyjskiego, jednak nie mamy pewności, że otrzymalibyśmy rzeczywiście wgląd w całość akt, a nie w tę część, którą chcą nam pokazać rosyjscy śledczy.

Po drugie w statusie pokrzywdzonego w Rosji znajduje się pewna pułapka. Przyjmując go mamy bowiem obowiązek stawiania się na każde wezwanie prokuratora, żeby składać zeznania. Jeśli z jakiegoś powodu się nie stawimy, wolno nas doprowadzić siłą. Istnieje ewentualnie możliwość, żebyśmy składali te zeznania przed polskimi śledczymi, a oni by przekazywali je Rosji, ale nie mamy pewności, że zastosowano by właśnie tę procedurę.

Na czym polega pułapka tych rozwiązań?

Można sobie wyobrazić sytuację, że rosyjska prokuratura chce kogoś widzieć codziennie przez pół roku.

Oznaczałoby to zupełną dezorganizację naszego życia. Patrzymy więc sceptycznie na to, czy należy wkładać Rosjanom w ręce takie narzędzie nękania. Być może warto upoważnić kogoś, by w imieniu rodzin ofiar działał w Rosji. Jednak nawet wtedy prokuratorzy rosyjscy mogą żądać naszej obecności, a nie obecności pełnomocnika. Po drugie możemy

upoważnić tylko prawnika tam akredytowanego, który jest członkiem rosyjskiej izby adwokackiej. Takim ludziom niekoniecznie musimy ufać.

Nie wiadomo również, czy pełnomocnik cokolwiek zdołała w Rosji, czy jego praca przyniesie jakieś efekty. Chcemy się zwrócić do Pani adwokat Kariny Moskalenko - rosyjskiej obrończyni praw człowieka, która być może poradzi nam jak postąpić w tej sprawie, i wskaże nam prawników, którym moglibyśmy zaufać.

Osobną kwestią jest to, że koszty wynajęcia pełnomocnika nie są refundowane. W wielu rodzinach zabrakło głównego, a często jedyne go żywiciela. Nasza sytuacja materialna nie jest przesadnie dobra, dodatkowe obciążenie czyniłoby ją jeszcze trudniejszą.

Czy jako pokrzywdzeni mają Państwo zagwarantowany dostęp do materiałów polskiego śledztwa?

Z wykonaniem prawa do wglądu w akta jest źle. Prokuratura utrudnia nam dostęp do dokumentów jak tylko może. Z niewiadomych powodów udostępniana jest wszystkim rodzinom tylko jedna kopia materiałów. To powoduje, że tworzy się wielotygodniowa czy nawet wielomiesięczna kolejka rodzin, które te dokumenty chcą zobaczyć. W praktyce nie mamy również dostępu do akt tajnych. Mimo naszych wniosków o dostęp do nich, nie są one nam pokazywane.

Dlaczego?

Z mocy prawa mamy prawo wglądu w nie. W związku z tym prokuratura po prostu nie odpowiada na nasze wnioski. Prokuratorzy nie mogą powiedzieć, że się nie zgadzają, więc nie mówią po prostu nic. Na pytanie, dlaczego, też nie udziela się odpowiedzi. Traktujemy to jako próbę upokorzenia nas, jak złośliwość ze strony złych ludzi.

Nie mają Państwo żadnej możliwości dyscyplinowania prokuratury?

Problem polega na tym, że prokuratorzy nie pracują zgodnie z Kodeksem Postępowania Administracyjnego. On nakładałby obowiązek udzielenia odpowiedzi na nasze wnioski w określonym prawem terminie. Jednak Kodeks Postępowania Karnego, na podstawie którego toczy się śledztwo, nie wyznacza żadnych terminów odpowiedzi na jakiegokolwiek wnioski. Teoretycznie możemy więc czekać na zgodę prokuratora 6 lat, a może 70... jak z poprzednim Katyniem.

Prokuratura mogłaby chociaż poinformować wnioskodawców, jak zamierza dalej postępować, kiedy odpowie na wnioski. Jednak to się nie dzieje. Ten urząd w ogóle jest bardzo nam nieprzyjazny.

Na czym polega ta nieprzyjazność?

Zachowanie prokuratury jest upokarzające i dodatkowo bolesne. Do naszego bólu po stracie bliskich nam osób dołącza się ból wynikający z takiej zwykłej ludzkiej niechęci.

Spotykamy się ze złośliwością na każdym kroku. Ostatnio sześć tomów akt zostało wyłączonych z dostępu, ponieważ przyszły z Moskwy i zostały wysłane do tłumaczenia. Nie wiadomo jednak, dlaczego do tłumacza musiała trafić akurat ta kopia, którą udostępnia się rodzinom ofiar. Przecież tłumacz przysięgły korzysta z oryginałów. Dlaczego więc nam zabrano wgląd w tę część akt? Większość ofiar oraz ich bliskich należy do pokolenia, które z przymusu uczyło się języka rosyjskiego. Poradzilibyśmy sobie więc z przeczytaniem tych dokumentów.

Skąd Pani zdaniem bierze się niechętna postawa prokuratorów prowadzących śledztwo?

Nie rozumiem tego zupełnie. Ogólnie z postępowania czynników oficjalnych rozumiemy bardzo niewiele.

Zarówno Polacy, jak i Rosjanie zachowują się tak, jakby mieli wiele do ukrycia. Każda sprawa, która nas dziwi, jak niechęć do powołania międzynarodowej komisji, która miałaby zająć się przyczyną katastrofy smoleńskiej, utrudnianie nam dostępu do akt, czy brak wystąpienia o wydanie Polsce wraku rządowego samolotu, składa się na obraz niezrozumiały.

Czego władza w Polsce tak się boi, że nie chce komisji międzynarodowej, co takiego może ona ustalić, że jej prace są tak niepożądane? Jeśli tłumaczeniem jest to, że nie chce się drażnić strony rosyjskiej i pogarszać stosunków z Moskwą, to myślę, że to się okaże nieskuteczne. Cała sytuacja prowokuje ludzi do dawania wyrazu niechęci wobec Rosjan, nie służy pojednaniu, tylko wzmacnia w ludziach obraz, że Rosjanie są źli, a Polacy się przed nimi płaszczą. Myślę, że opinia publiczna nabiera coraz gorszego mniemania o sposobie prowadzenia śledztwa. Sądzę, że gdy Polacy patrzą jak się obściskuje Tusk z Putinem to przypominają sobie uściski Gierka z Breżniewem i wciąż o Rosjanach myślą tak samo źle.

Czy w ramach polskiego śledztwa mają Państwo możliwość wpływania na jego prowadzenie, składania wniosków formalnych?

Teoretycznie mamy, ale takie wnioski pozostają bez rozpatrzenia. To śledztwo jest prowadzone w sposób bardzo chaotyczny, nie ma w nim żadnej myśli przewodniej. Nikt tak naprawdę nie zadaje sobie pytania, dlaczego doszło do katastrofy. Dodatkowo, na wnioski, wpinane w akta sprawy, prawie nie udziela się odpowiedzi. Mnie to bardzo zaskoczyło. Byłam przez wiele lat urzędniczką, moje kompetencje zostały potwierdzone przez Krajową Szkołę Administracji Publicznej, więc urzędowy obieg dokumentów nie jest mi obcy. Jeśli w jakichś dokumentach znajdują się wnioski, pod nimi powinna się znaleźć odpowiedź na nie. W tych dokumentach jest tak tylko kilkakrotnie. Zdecydowana większość wniosków jest wpięta bez żadnego komentarza i śladów odpowiedzi. Ja nawet pytałam mojego adwokata, czy prokuratura inaczej archiwizuje własne dokumenty. Mecenas powiedział, że nie, oni po prostu nie odpowiadają na przysyłane im pisma. Odpowiedzi takie można policzyć na palcach jednej ręki.

Jak Pani ocenia przydatność materiałów, które Polska otrzymała do tej pory z Rosji? Mecenas Rafał Rogalski mówił ostatnio, że nie ma w nich materiałów kluczowych dla badania przyczyny tragedii pod Smoleńskiem.

Marta Kochanowska powiedziała publicznie, że w tych 35 tomach akt do czegokolwiek nadaje się zaledwie 150 stron. Tylko tyle wnosi coś do całej sprawy. Duża część dokumentów została natomiast przeniesiona do części tajnej, do której w praktyce nie mamy dostępu.

Wciąż nie ma w tych materiałach dokumentów dotyczących ważnych kwestii. Brakuje np. dokumentacji medycznej. Nie ma nagrań z wieży kontroli lotów w Smoleńsku. Znamy przebieg rozmów, dzięki zeznaniom kapitana Jaka-40 Artura Wolsztyna, ale nagrań Rosjanie nam nie przekazali. Podobnie jak czarnych skrzynek. One są bardzo potrzebne, ponieważ ujawniony stenogram nie zgadza się z tym co usłyszała załoga Jaka. Dodatkowo są wątpliwości, czy stenogram nie został spreparowany, ponieważ podobno ujawniony zapis trwa za długo.

Odmawia się nam również zapisu fonetycznego rozmów z Tupolewa. Wtedy można byłoby zweryfikować rzetelność stenogramu, ustalić rzeczywisty przebieg rozmów między załogą a kontrolerem lotu, sprawdzić czy z zapisu coś wycięto. Brak tych materiałów jest dla nas niezrozumiały. Nie rozumiem, dlaczego Rosja nie chce nam ich przekazać, dlaczego Polacy mieliby nie mieć dostępu do tak ważnych materiałów.

Bliscy ofiar katastrofy smoleńskiej nie są jednak jednomyślni, czy rodziny powinny mieć dostęp do zapisów fonetycznych rozmów pilotów z wieżą. Rodziny członków załogi są, o ile wiem, przeciwnie przekazaniu tych materiałów Polsce. Ale dlaczego miałyby to być tajemnicą przed Polakami. Zginął ich prezydent, dlaczego nie mieliby oni wiedzieć, co działo się na pokładzie Tupolewa. Moim zdaniem mają do tego dobre prawo.

Podobno jedna z wdów powiedziała, że serce by jej pękło, gdyby cała Polska usłyszała, co jej mąż mówił przed śmiercią. Ale to nie jest własność tej pani, ja nie przyjmuję takiego argumentu. Może mi serce pęknie, jeśli nie usłyszę takiego zapisu. Uważam, że mam do niego prawo. Szczególnie, że podobno nagrały się tam również głosy z kabiny pasażerskiej.

Czy strona rządowa jest w jakikolwiek sposób zaangażowana w to śledztwo?

Nie, oficjalnie nie. Gdy rodziny ofiar występują z jakimś apelem do strony rządowej, szef Kancelarii Premiera Tomasz Arabski przysyła nam pismo, że śledztwo prowadzi prokuratura, a nie rząd i żebyśmy tam się zwracali.

Oficjalnie strona rządowa nie występuje więc w tej sprawie. Ale myślę, że całe śledztwo jest sterowane przez władze. Obawiam się, że opieszałość prokuratury w tej sprawie to nie przypadek. Bo w imię czego śledczy mieliby tak postępować. Obawiam się, że działają na mocy jakiegoś odgórnego polecenia, czy zgodnie z narzuconą im linią postępowania.

Śledztwo prokuratury miałyby być ustawione?

Wiele publikacji Instytutu Pamięci Narodowej pozwala zyskać rozeznanie dotyczące prowadzenia niektórych śledztw w PRLu. One były prowadzone tak, by niczego nie wyjaśnić. Śledztwo ws. przyczyn katastrofy smoleńskiej bardzo je przypomina. Ono jest prowadzone podobnie do śledztw ws. śmierci Grzegorza Przemyka, Stanisława Pyjasa, księdza Suchowolca, Zycha. To podobieństwo jest uderzające.

Mam takie wrażenie, że nikt nie zadał sobie trudu, by sprawdzić najbardziej nasuwające się i wynikające z logiki kwestie. To bardzo dziwne, bo dużo uwagi przywiązuje się do spraw, które z daleka pachną hucpą.

Nie podejmuje się natomiast działań dotyczących poważnych wątków.

Czy któraś z hipotez dotyczących przyczyn katastrofy jest Pani zdaniem prawdopodobna?

Myślę, że trudno obalić tezę, że samolot został naprowadzony na niewłaściwy tor. Według zeznań świadków, Tupolew nadlatywał dokładnie tam, gdzie lądować próbował chwilę wcześniej rosyjski Il-76. On nie trafił w lotnisko i musiał odlecieć. My się nie upieramy, że to jakiś zły człowiek pokierował specjalnie tak tym samolotem. Może był po prostu pijany, skacowany. Ale nie wykluczamy także, że był mordercą.

Z wielką uwagą wsłuchujemy się także w głosy ekspertów, którzy komentują sposób rozbicia się samolotu.

Według nich przy szybkości 280 kilometrów na godzinę on nie powinien się rozpaść w ten sposób. Stan samolotu po katastrofie budzi zdziwienie i niepokój, szczególnie gdy porównuje się go do innych katastrof lotniczych. Będziemy występować o to, by skrupulatnie zbadano szczątki Tupolewa. Najlepiej, gdyby zrobiły to jakieś zachodnie instytuty. Nie do końca ufamy ludziom, którzy mogliby takie analizy zrobić w Polsce.

Wykonanie analiz szczątków Tupolewa wymaga sprowadzenia wraku do Polski. Dlaczego jest to tak ważne by znalazł się on tutaj?

Historia śledztw ws. przyczyn katastrof lotniczych pokazuje, że nawet drobne części maszyny mogą wnieść dużo do poznania przyczyn rozbicia się samolotu. To nie przypadek, że Amerykanie podnieśli z dna oceanu wrak airbusa, i mimo że operacja kosztowała gigantyczne pieniądze. Zastanawiamy się również, ile na tym wraku jest krwi naszych bliskich. Nie rozumiemy jak można było nie sprowadzić tego samolotu do Polski od razu.

Nie wiadomo również, czy ten wrak jest w całości. Doszły nas plotki, że nie ma śladów po kokpicie samolotu. Na żadnym zdjęciu nie widać tej części maszyny. Nie wiadomo co się z nim stało.

Jak odbiera Pani decyzję o nieprzejmowaniu śledztwa ws. katastrofy? Czy była ona „grzechem pierworodnym”, który obecnie powoduje, że Polska nie ma możliwości wpływania na śledztwo?

Zadaje sobie pytanie, na ile była to decyzja Donalda Tuska. Bardzo bym chciała poznać treść jego rozmowy z Władimirem Putinem. Może Tusk nie miał wyboru. Uważam jednak, że to co się stało jest haniebne i bardzo źle świadczy o naszej suwerenności.

Wyobraźmy sobie, że tam spada samolot francuski lub izraelski. W tej sytuacji cały teren zostałby natychmiast otoczony, śledztwo prowadzone byłoby przez te kraje, a służby rosyjskie trzymane byłyby na odległość kilometra od miejsca tragedii.

Po szczątkach naszych bliskich natomiast deptał kto chciał. Po katastrofie zlecieli się okoliczni mieszkańcy włączając na miejsce katastrofy, zwłoki były okradane, terenu zupełnie nie zabezpieczono. Miejsce katastrofy tak przeszukano, że miejscowy ksiądz znalazł miesiąc później kawałek ludzkiego ciała i pochował go na cmentarzu w Smoleńsku. Ktoś do tego dopuścił, ktoś pozwolił, żeby ta sytuacja tak wyglądała.

Analogia katastrofy smoleńskiej ze zbrodnią katyńską nasuwa się sama. Czy polityka informacyjna mediów w Polsce nie przypominała Pani typowej dla PRLowskiej propagandy tabuizacji sprawy?

Bądźmy sprawiedliwi, media różnie opisywały katastrofę smoleńską. Na środowisko „Gazety Polskiej” mogliśmy liczyć, „Misja specjalna” w każdym programie wspominała o toczącym się śledztwie ws. przyczyn katastrofy. Czujemy duże wsparcie ze strony mediów, które nie muszą się bać władzy, które nie sądzą, że fikcyjna poprawa w stosunkach polsko-rosyjskich jest sprawą nadrzędną.

Myślę, że zarzucić można coś jedynie tym mediom, które zdają się być pasem transmisyjnym oficjalnych mediów rosyjskich, oraz tym, które nie są niezależne od rządzącej Polską formacji. Do nich można mieć zastrzeżenia. Wielu dziennikarzy w prywatnych rozmowach próbowało jednak być uczciwymi. Mówili, że oni – jak my – nie odrzucają ewentualność zamachu na rządowy samolot, ale zaznaczali, że nie mogą tego głośno mówić. Mówili tak, jakby się przed nami usprawiedliwiali.

Także media mediom nie równe. Na pewno dziwny był obecny w środkach masowego przekazu ton agresji i deprecjonowanie głosów odmiennych od oficjalnie przyjętej linii. Monika Olejnik zarzuciła nam, że mamy obsesję smoleńską. Rozumiem, że ona ma taką intuicję, bo nie ma przecież wiedzy, że to był wypadek, i to najlepiej zawiniony przez pilotów. Moja teściowa, matka, która straciła swoje jedyne dziecko, jest jednak zdania, że to nie był wypadek, że wszyscy zostali zamordowani, i że ktoś z Polski posłał ich na śmierć. Ona ma taką intuicję. I czy intuicja matki nie wydaje się być bliższa prawdy niż intuicja kompletnie nie związanej ze sprawą dziennikarki. Zwłaszcza, że zagmatwanie śledztwa daje poszlaki, przemawiające raczej za wersją mojej teściowej.

A jaką intuicję ma Pani?

My zadajemy sobie pytanie o możliwy zamach, ale przecież wolelibyśmy, żeby to był zwykły wypadek. Jak straszna jest myśl, że ktoś z premedytacją odebrał nam naszych bliskich. Jak straszna jest myśl, że ktoś z Polski mógłby ich posłać na śmierć. Mój mąż był przecież członkiem obecnego rządu. Wprawdzie odziedziczonym po poprzednikach, ale mimo to był częścią tej władzy, i zachowywał się wobec niej lojalnie.

Myśl, że ktoś z Polski mógł posłać go na rzeź, jest przerażająca. Ja wolałabym, żeby tak nie było. Nie odrzucam i nie odrzucę żadnego argumentu, który świadczyłby, że to nie był zamach. Łatwiej byłoby mi żyć ze świadomością, że Bóg tak chciał, a nie źli ludzie.

Wierzy Pani, że dowiemy się dlaczego rządowy Tupolew się rozbił?

Muszę wierzyć, bo nie miałabym po co żyć. Będziemy robić wszystko, by prawda o tej katastrofie ujrzała światło dzienne. Zdajemy sobie jednak sprawę, z jakim krajem mamy do czynienia, wiemy ile trwa śledztwo katyńskie. Do dziś nie znamy np. losów skrzyń katyńskich. Mamy nadzieję, że w tej sprawie będziemy czekać mniej niż 70 lat. Czy przyczyny da się wyjaśnić, o to trzeba pytać ekspertów.

Jak wiadomo nie wpuszczono na miejsce wypadku polskich archeologów. Skłamano, że ziemia została przesiana, ale tak naprawdę wpuszczono tam tylko buldożery i zaorano teren. Archeolodzy są mimo tego optymistami. Jeśli uda im się w końcu dojechać na miejsce tragedii, mogą jeszcze wiele znaleźć w tamtejszej ziemi. Oni mówią, że sobie poradzą. W końcu są to ludzie potrafiący odnajdywać rzeczy skryte pod ziemią od setek lat.

Czy Pani zdaniem po katastrofie smoleńskiej Polska się zmieniła, czy Polacy są inni po 10 kwietnia?

Sądzę, że podziały w społeczeństwie są większe niż były w 1989 roku. Myślę, że są to tak naprawdę już dwie Polski. W ludziach odżyła też chęć manifestowania swoich uczuć. Taka, z jaką mieliśmy do czynienia w PRLu. Ja też odczuwam taką pokusę.

Manifestowanie uczuć wiąże się z symbolami. Jak Pani odbiera wzywanie do usunięcia krzyża sprzed Pałacu Prezydenckiego?

To kolejny policzek wymierzony bliskim ofiar katastrofy smoleńskiej. Wydaje mi się, że to małpia złośliwość.

Krzyż to najświętszy symbol. Walka z krzyżem? Jakież to niegodne, niskie. Rozumiem, że ten symbol najbardziej bodzie w oczy, ale dla nas to symbol Tego, który się nami opiekuje, pomaga nam najbardziej, do którego się uciekamy w naszych modlitwach. Uważam, że mamy obowiązek bronić tego krzyża.

Powiedzieć Złemu i jego akolitom: nie. Mam wrażenie, że obrona tego krzyża jest zrobieniem kroku w stronę Chrystusa, jest powiedzeniem Mu: jesteście Ci wierni.

Jeśli jednak dojdzie do zlikwidowania krzyża będę apelowała, byśmy układali przed Pałacem Prezydenckim krzyż z kwiatów, choćby trzeba było robić to codziennie od nowa, jak to miało miejsce za czasów PRLu na Pl. Zwycięstwa. Takie symboliczne miejsce jest Polakom bardzo potrzebne. Ten naród stracił swojego prezydenta. Powinien móc składać mu hołd. Dobrze byłoby, gdyby z czasem przed pałacem stanął pomnik Pary Prezydenckiej. Wtedy to tam składalibyśmy wieńce w hołdzie prezydentowi, który zginął na służbie w czasie tak szczytnej misji. Do tego czasu harcowski krzyż powinien zostać tam, gdzie jest. To przecież także wyraz naszej narodowej solidarności po katastrofie smoleńskiej. *Rozmawiał Stanisław*

Żaryn; 20-07-2010 07:33

Bezkompromisowa walka z korupcją

1. Afera hazardowa została już co prawda zamieciona pod dywan, za miliardowe afery prywatyzacyjne nikt nigdy nie odpowiedział, ale to nie znaczy, że walka z korupcją ustała. Wręcz przeciwnie, jest ona prowadzona bardzo intensywnie, tyle że nie przeciw władzy, ale przeciw społeczeństwu.

2. Pewien inżynier z centralnej Polski pojechał sobie samochodem do nadmorskiej miejscowości i tam samochód zaparkował. Nieprawidłowo. Przyszła policja, mandat spisała, a w dowodzie rejestracyjnym, który jej wręczył pan inżynier, znalazła wciśnięte za okładkę 50 złotych. Inżynier zapomniał, że podczas płacenia rachunku na stacji benzynowej zostawił w dowodzie rejestracyjnym te pieniądze. Policjanci 50 złotych wyluskali i oskarżyli inżyniera o korupcję, zapracowując w ten sposób na premię za wykrycie łapownictwa. Prokuratora wniosła akt oskarżenia, a sądy dwu instancji skazały inżyniera na półtora roku więzienia. Na nic zdały się wyjaśnienia, że ta korupcja nie miała sensu, bo mandat za niewłaściwe parkowanie nie byłby większy niż te nieszczęsne 50 złotych. Przestępca korupcyjny został jednak wykryty i osądzony z całą surowością prawa, choć sądowi zadrżała w ostatniej chwili ręka i w łaskawości swojej wykonanie kary warunkowo zawiesił.

3. Bardzo dobrze, że Państwo Polskie z taką determinacją zwalcza korupcję. W takim państwie chce się żyć i dla niego pracować.

Napisany przez Janusz Wojciechowski, z 18-07-2010 08:31

Pogoda w Smoleńsku nie spełniała wymogów lądowania

Samolot wyleciał z Warszawy bez prognozy i informacji o stanie faktycznym pogody na lotnisku docelowym - twierdzi Międzypaństwowy Komitet Lotniczy w Moskwie, który bada okoliczności katastrofy polskiego samolotu prezydenckiego Tu-154M.

Po zakończeniu analizy warunków atmosferycznych i stopnia poinformowania załogi Tu-154M o pogodzie komitet podał, że załoga była terminowo informowana o trudnych warunkach meteorologicznych, w których podchodzono do lądowania.

Według MAK, o godz. 10.41 warunki atmosferyczne były następujące: *wiatr przy gruncie 110-130 stopni, prędkość wiatru 2 m/s, widoczność 300-500 m, mgła, zachmurzenie 10 stopni warstwowe, dolna granica 40-50 m, temperatura: plus 1 - plus 2 stopnie C.*

Warunki atmosferyczne na lotnisku w Smoleńsku nie spełniały wymogów lądowania, o czym załoga była niejednokrotnie uprzedzana przez organy kierowania ruchem powietrznym oraz polską załogę samolotu Jak-40, lądującą na lotnisku w Smoleńsku wcześniej - czytamy.

Jak podkreśla komisja, organizacja obserwacji meteorologicznych na lotnisku w Smoleńsku pozwoliła terminowo informować załogę o pogarszaniu się warunków meteorologicznych. Jednocześnie MAK pisze, że wylot samolotu z Warszawy nastąpił bez znajomości prognozy i stanu faktycznego pogody na lotnisku docelowym. Wspomnianych dokumentów załoga nie otrzymała - napisano w informacji MAK.

Jak pisze komisja, niedociągnięcia polegające na braku [danych](#) meteorologicznych na lotnisku docelowym występowały także przy lotach z Warszawy 07.04.2010. Tego dnia do Smoleńska leciał premier Donald Tusk. Komisja zwraca też uwagę, że pogoda na lotniskach w Mińsku i Moskwie pozwalała 10 kwietnia na [bezpieczne](#) lądowanie.

MAK kończy swój komunikat informacją, że trwa analiza [materiałów](#) z otrzymanego od firmy producenckiej (z USA) końcowego sprawozdania na temat oceny informacji zapisanych przez pokładowy system ostrzegania przed zderzeniem z ziemią TAWS oraz pokładowe komputery FMS w samolocie.

(PAP)

Kolejne słowa z czarnych skrzynek odczytane

Polskim specjalistom udało się odczytać kilkanaście słów więcej z zapisów czarnych skrzynek prezydenckiego samolotu w porównaniu ze stenogramem przekazany przez Rosjan - powiedział rzecznik Prokuratury Generalnej prok. Mateusz Martyniuk.

Prokurator dodał, że taką informację prokuratorowi generalnemu Andrzejowi Seremetowi przekazał krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych, gdzie badane są zapisy. Martyniuk nie ujawnił treści dodatkowo odczytanych słów. - *Czy ich znaczenie będzie przełomowe, będzie można ocenić dopiero, gdy wpłynie pełna opinia z Instytutu* - dodał.

Rzecznik Prokuratury Generalnej powiedział także, że na obecnym etapie biegli badający zapisy *zakończyli odszumianie taśm* i przeszli do odcyfrowywania poszczególnych słów. Jak już wcześniej informowała Naczelną Prokuraturę Wojskową, całościowa opinia na temat badanych zapisów powinna trafić do prokuratury jesienią, *nie wcześniej niż 30 września*.

Martyniuk powiedział, że zdaniem Prokuratury Generalnej opinia publiczna powinna poznać całość odczytanych zapisów rozmów w kokpicie prezydenckiego samolotu, ale decyzja w tej sprawie zawsze należy do prokuratorów prowadzących śledztwo.

МЕЖГОСУДАРСТВЕННЫЙ АВИАЦИОННЫЙ КОМИТЕТ



ТРАНСКРИПЦИЯ

переговоров экипажа самолета Ту-154М б/н 101,

O tym, że polskim ekspertom udało się odczytać z czarnych skrzynek więcej informacji niż rosyjskim, mówił już w początkach lipca rzecznik rządu Paweł Graś. W poniedziałek o odczytaniu nowych słów powiedział także radiu RMF FM prokurator generalny Andrzej Seremet. Zaznaczył

jednocześnie, że nowe słowa nie są w stanie w żaden sposób potwierdzić, ani obalić hipotez postawionych przez prokuratorów.

Na zlecenie prokuratury, odczytu fragmentów, których nie udało się odczytać stronie rosyjskiej, dokonuje Instytut Ekspertyz Sądowych w Krakowie. Z kolei na zlecenie kierowanej przez szefa MSWiA Jerzego Millera Komisji Badania Wypadków Lotniczych Lotnictwa Państwowego zapisy bada laboratorium policyjne. (PAP)

"Polska jest we wczesnej fazie ożywienia"

Szef NBP Marek Belka jest optymistą. Jego zdaniem nasza gospodarka wkracza w dobry czas.

Dane o produkcji z dwóch ostatnich miesięcy są bardzo pocieszające. (...)Wydaje się, że on jest stymulowany popytem zewnętrznym, a to nie jest inflacjotwórcze - powiedział Belka w TVN CNBC [Biznes](#).



Źródło: Money.pl na podstawie danych GUS.

Ja osobiście zwracam uwagę na dane o zatrudnieniu i płacach. (...) Ostatnie dane wskazują, że mamy do czynienia z bardzo powolnym wzrostem tempa płac, a szybszym zatrudnienia. To jest dobre. Trzeba zbadać trwałość tego zjawiska, a jeśli okaże się, że tak, to znaczy, że mamy stabilne ożywienie - dodał prezes NBP.

Belka dodał, że jest przeciwny publikacji ścieżki stóp procentowych. - W czasach, w jakich jesteśmy to za duże ryzyko - powiedział. (PAP)

Cięcie wydatków nie pomoże, trzeba podnieść podatki

Money.pl: Agencja ratingowa Standard & Poor's grozi nam, że jeżeli w ciągu dwóch lat nie uzdrowimy naszych finansów, to znacznie obniżą nam rating. W ślad za tym pójdą zapewne kolejne renomowane agencje, np. Moody's i Fitch. Czy powinniśmy się bać tych gróźb? Jakie mogą być skutki obniżenia ratingu dla Polski?

prof. Dariusz Filar, były członek Rady Polityki Pieniężnej: Jeżeli agencja ratingowa z jednej strony rating zachowuje, a równocześnie w komentarzu zwraca uwagę na zagrożenia,

to z jej punktu widzenia jest to działanie prawidłowe. Stara się ona przewidzieć potencjalne, przyszłe zdarzenia po stronie negatywnej. W taki sam sposób reaguje rynek, który też stara się przewidywać przyszłość.

Gdyby ten negatywny scenariusz się zrealizował, a w konsekwencji obniżony zostały rating, byłoby to dla gospodarki bardzo niekorzystne. Automatycznie wzrosną wtedy koszty naszego długu oraz rentowność naszych obligacji. Spadnie wiarygodność kraju, jako dobrego miejsca do inwestowania. Pośrednio może to wpłynąć także na osłabienie [kursu](#) walutowego.

Ale przecież agencje ratingowe są uznawane za jednego z głównych sprawców ostatniego kryzysu. Ich analizy straciły na wiarygodności. Inwestorzy biorą jeszcze pod uwagę ich opinie?

Wiarygodność straciły głównie na skutek zbyt optymistycznych ocen instytucji i rynku finansowego, a nie ocen państw. Dlatego, choć inwestorzy dużo ostrożniej posiłkują się tymi analizami, to nadal mają one dla nich kolosalne znaczenie.

Ponadto w przypadku każdego takiego opracowania agencja musi dać swój komentarz. I tak też jest w przypadku ostatniej oceny naszej gospodarki. Rating nie został zmieniony, ale wskazano zagrożenia. Co więcej, analitycy są obecnie dużo bardziej ostrożni niż jeszcze dwa lata temu i ich opinie są zbieżne z tym co sądzi rynek.

A nie jest tak, że czego byśmy nie zrobili, to i tak jesteśmy postrzegani przez pryzmat regionu? Węgry mają kłopoty ze swoimi reformami, ale obrywa się także nam – złoty traci na wartości. Podobnie było rok temu. Czy w tej sytuacji nawet jeżeli my zreformujemy naszą gospodarkę, to inwestorzy i tak tego nie zauważą?

Pośrednio to zawsze wpływa i tego nie unikniemy. Zawsze będziemy postrzegani w kontekście całego regionu. Takie zjawiska występują jednak na całym świecie. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na drugą stronę tego medalu. Węgry, Słowacja, kraje nadbałtyckie tną wydatki, szukają nowych źródeł dochodów, obniżają deficyty. Jeżeli my takich działań nie zastosujemy będzie to miało negatywny wpływ na sytuację w naszym regionie. To my wtedy będziemy źródłem infekcji.

Zwykły Kowalski może być lekko dezorientowany. Przecież nie tylko minister Rostowski i premier Tusk chwalą się, że Polska jako jedyny kraj w Europie i jeden z nielicznych na świecie uniknęła recesji. Podkreślają to także największe instytucje finansowe świata. Jak to jest więc z naszą gospodarką w rzeczywistości?

Jest lepsza niż u naszych sąsiadów. Jednak należy to zawsze traktować relatywnie. Państwa naszego regionu mają gorszą sytuację, więc podnoszą podatki, tną wydatki. Nie musimy podejmować tak dramatycznych działań, jak choćby Węgry, ale nie możemy z nich też całkowicie zrezygnować. To, że 2009 rok przeżyliśmy spokojnie, nie daje gwarancji, że najgorsze mamy już za sobą.

Należy pamiętać, że choć notujemy wzrost gospodarczy na poziomie 3 procent, to nie jest to jednak poziom, który by nas wyciągał z deficytu, który wyraźnie wzrósł w ostatnich dwóch latach. Do tego potrzebujemy, by gospodarka rosła w tempie 6 procent. A na to się w przyszłym roku nie zapowiada.

Jakie reformy powinien więc wprowadzić rząd? W jakich obszarach?

Jest u nas takie powszechne przekonanie, że nad deficytem sektora finansów publicznych można zapanować poprzez ograniczenie, a przynajmniej powstrzymanie, wzrostu wydatków.

Oczywiście jest w tym sporo prawdy, bo nie ma powodu, by rodzice, którzy zarabiają 10 tysięcy złotych, otrzymywali becikowe. Byśmy wypłacali najwyższe w Europie zasiłki pogrzebowe. Żeby rolnik, który ma 150 hektarów pod uprawę płacił podstawową stawkę KRUS, albo by były nadużywane świadczenia chorobowe. Takich punktów po stronie wydatkowej trochę jest. Ale jak się im trochę dokładniej przyjrzymy, to oszczędności z tytułu ich ograniczenia wyniosą kilkaset milionów złotych. A my potrzebujemy miliardów, by zredukować deficyt finansów publicznych.

Co więc rząd powinien zrobić?

Rządy właściwie wszystkich rządów europejskich zdały sobie sprawę, że budżetom należy zapewnić wyższe dochody. Wyraźnie widać, że to nie wydatki są na pierwszym planie, ale poszukiwanie dodatkowych dochodów. Moim zdaniem Polska staje w obliczu identycznego wyzwania. Na razie wciąż bronimy się w ocenie agencji ratingowych. Gdyby jednak deficyt finansów publicznych w przyszłym roku utrzymał się na podwyższonym poziomie w okolicach 7 procent, to niebezpieczeństwo obniżenia ratingu się pojawia.

Gdzie tych dochodów szukać?

Po pierwsze należy się przyjrzeć składce rentowej. Wyraźnie widać, że jej obniżenie w okresie rządów PiS po stronie pracobiorców było działaniem bardzo pochopnym, opartym na ryzykownej ocenie przyszłej dobrej koniunktury gospodarczej. Nie ma się co oszukiwać, stawka obniżona o 7 punktów procentowych jest nie do utrzymania. Można się zastanawiać, jak z tego wyjść – czy podnosić ją proporcjonalnie i dla pracownika i dla pracodawcy, czy bardziej podwyżkę odczuje pracownik, ale tego nie da się uniknąć, jeżeli chcemy znaleźć dodatkowe miliardy, a nie miliony.

Drugim źródłem jest – masowo stosowana obecnie w Europie – podwyżka podatku VAT. Tutaj też można zastosować kilka wariantów. Tym bardziej, że u nas obowiązuje kilka stawek. Przykładowo Litwini, którzy też mieli kilka stawek, ujednolicił je do jednej, tej najwyższej. Węgry natomiast podwyższyli podatek do 25 procent.

O ile mogłyby wzrosnąć wtedy dochody budżetu?

W najbardziej ostrożnym wariantcie – gdybyśmy się wycofali ze stawki zerowej i 3 procentowej - do budżetu dodatkowo mogłyby wpłynąć od 1,5 do 2 mld złotych. Przy odważniejszych rozwiązaniach mogłyby to być nawet więcej niż 10 mld złotych.

A może nie będzie to potrzebne i wystarczy wdrożenie w życie reformy finansów publicznych, zaproponowanej w marcu przez ministra finansów? Reforma ma przynieść do 2012 roku około 12 mld oszczędności.

To są kroki w dobrym kierunku, ale skala ich jest niewystarczająca, by ograniczyć deficyt finansów publicznych.

A jakby dodać do tego planowane przez rząd zamrożenie w przyszłym roku wynagrodzeń w sferze budżetowej?

Dzięki temu powstrzymamy jedynie wydatki, ale na dłuższą metę nie da się tego kontynuować. Za rok, za dwa będzie trzeba w końcu podwyższyć również pensje w budżetówce. Reformy po stronie wydatkowej są konieczne, ale nie przyniosą tyle, ile jest potrzebne.

W ubiegłym tygodniu minister finansów przedstawił rządowi założenia budżetowe. Jak Pan je ocenia? Może ten budżet zostanie tak skonstruowany, że uda się uniknąć podwyższania podatków?

Na razie jest na to za wcześnie. Budżet będzie można ocenić dopiero we wrześniu, gdy trafi do Sejmu.

Jak na brak radykalnych reform może zareagować Rada Polityki Pieniężnej? Czy możemy się spodziewać podwyżki stóp procentowych z tego powodu? Prezes Belka bardzo wyraźnie zachęca rząd do głębokich zmian w finansach publicznych.

Zgodnie z prawami ekonomii, jeżeli nie ma wyraźnej poprawy po stronie fiskalnej, to należy to kompensować poprzez bardziej restrykcyjną politykę pieniężną. Jeżeli więc rząd nie zdecyduje na odważne reformy finansów publicznych, to rośnie groźba podwyżki stóp procentowych.

O ile stopy procentowe mogłyby wzrosnąć?

Wszystko zależy od tego co rząd zrobi. Im skala zaniechań będzie większa, tym wyższych stóp procentowych należy się spodziewać.

Podwyższanie podatków i cięcia budżetowe to niepopularne decyzje, bo większość społeczeństwa na tym traci. Czy w kontekście przyszłorocznych wyborów parlamentarnych rządzący zdecydują się na ich wprowadzenie?

Politycy stoją przed ogromną odpowiedzialnością. Muszą podjąć dialog ze społeczeństwem. Muszą powiedzieć wprost: czy chcemy mieć kraj, który za cenę nieco wyższych danin publicznych będzie krajem gospodarczo zrównoważonym, czy też odpychamy od siebie poważne ryzyka, które jednak ze zdwojoną siłą pojawiają się w przyszłości.

Jeżeli rządowi się nie uda, lub nie będzie chciał ze względu na wybory podjąć decyzji o reformowaniu finansów publicznych, kiedy możemy się spodziewać negatywnych skutków tych zaniechań?

Jeżeli budżet na 2011 rok nie będzie w przekonujący sposób lepiej wyglądał od tegorocznego, to tak jak agencje ratingowe ostrzegają, negatywna reakcja ze strony inwestorów pojawić się może już w 2011 roku.

rozmawiał Arkadiusz Drożdżel

Trzeba skonfrontować urzędników

Przed sejmową komisją hazardową zeznaje ostatni świadek. Na pytania śledczych odpowiada Bożena Pleczeluk z Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Dyrektor departamentu ekonomiczno-finansowego przekonuje posłów, że nie uczestniczyła w przygotowaniu pisma z 30 czerwca 2009 roku, które zawierało sformułowanie dotyczące wykreślenia z [ustawy](#) hazardowej przepisów dotyczących dopłat do gier na automatach.

Posel Prawa i Sprawiedliwości Beata Kempa mówi Informacyjnej Agencji Radiowej, że zeznania pokazują, iż kolejny urzędnik Ministerstwa Sportu nie podejmował kluczowej decyzji o usunięciu zapisów o rezygnacji z dopłat do gier na automatach.

Kempa przekonuje, że niezbędna jest konfrontacja między urzędnikami resortu sportu: dyrektor generalnej resortu Moniki Rolnik z dyrektorem departamentu prawno-kontrolnego Rafałem Wosikiem. Na takie przesłuchanie nie zgadzają się politycy PO.

- *Zeznanie pani dyrektor bardzo przybliży nas do prawdy* - twierdzi posłanka PiS.

Po południu członkowie komisji śledczej spotkają się z prokuratorami prowadzącymi śledztwo w sprawie afery hazardowej.
(IAR)

Konsumenci w gorszych nastrojach, niechętni do wyrzeczeń

Po kwietniowym wzroście, do poziomu najwyższego od października 2008 roku, w maju i w czerwcu nastroje konsumentów pogorszyły się - wynika z raportu Pentora.

- *Czerwiec przyniósł kolejne pogorszenie nastrojów konsumenckich Polaków. Penkon - indeks nastrojów konsumenckich jest w porównaniu z majem niższy o 1,8 pkt. Pogorszyły się również opinie o kondycji polskiej gospodarki. Wskaźnik PESK odnotował w tym miesiącu spadek o 5,1 pkt.* - czytamy w raporcie.

Nieco lepiej wypadła ocena sytuacji finansowej gospodarstw domowych. Wskaźnik OGD jako jedyny odnotował wzrost i tym samym osiągnął wartość -3,5 pkt. proc" - zauważa Pentor..

Z badania wynika, że 51 proc. Polaków deklaruje, że nie zgodziłaby się na osobiste ograniczenia i wyrzeczenia w życiu dla poprawy ogólnej sytuacji gospodarczej kraju. 38 proc. respondentów - o 6 punktów procentowych więcej niż w pierwszym kwartale - twierdzi natomiast, że byłoby ich stać na takie wyrzeczenia. 11 proc. nie ma jednoznacznej odpowiedzi w tym względzie.

39 proc. Polaków - o 6 punktów procentowych mniej niż w ostatnim pomiarze - twierdzi, że w ciągu przyszłego roku ilość bezrobotnych będzie większa niż obecnie. 38 proc. deklaruje, że poziom bezrobocia się nie zmieni, natomiast 14 proc. twierdzi, że liczba osób pozostających bez pracy się zmniejszy.

Badanie zrealizowane zostało w dniach 18-21 czerwca 2010 roku na 1000-osobowej reprezentatywnej próbie Polaków.
(PAP)

Posel donosi do prokuratury na wpis z blogu Palikota

Chodzi o wpis Janusza Palikota - zamieszczony na jego blogu - zatytułowany: Gosiewski żyje.

Widziano go na peronie we Włoszczowej, jak zmagął się z Ruskimi, ale dał radę. Trzeba ekshumacji wszystkich zwłok, bo być może Rosjanie je porwali i dziś przetrzymują na granicach dawnego imperium. Tak, jesteśmy szaleni. Jesteśmy wariatami - to Nasze Życie - napisał Palikot.

W ten sposób poseł PO skomentował wniosek o ekshumację zwłok Przemysława Gosiewskiego - polityk PiS zginął 10 kwietnia w katastrofie smoleńskiej.

Świętokrzyski poseł PiS [Krzysztof Lipiec](#) złożył do prokuratora generalnego zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez [Palikota](#).

W piśmie skierowanym do prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta Lipiec powołał się na artykuł 262 par. 1 kodeksu karnego - czynność sprawcza opisana w tym artykule polega na znieważeniu zwłok ludzkich lub prochów ludzkich.

W uzasadnieniu, powołując się na komentarze prawne do kodeksu, poseł napisał, iż w jego opinii, wpisem na blogu Palikot naruszył *fundamentalne zasady dotyczące kultury i obyczajowości zachowania wobec zwłok i prochów ludzkich obowiązujące w naszym kraju*.

Niewątpliwie jego działanie było umyślne nakierowane na obrazę i umniejszenie czci dla szczątków śp. Przemysława Gosiewskiego. Informacja zawarta na blogu nie miała na celu niczego więcej niż werbalne zbezczeszczenie zwłok tragicznie zmarłego. Dokonano bowiem bezprawnego zestawienia osoby zmarłego, który miał być widziany żywy na peronie we Włoszczowie w czasie zmagania z Rosjanami w momencie kiedy już nie żył - możemy przeczytać w piśmie.

W opinii posła PiS Palikot tym samym nie zważał także na *negatywne odczucia najbliższej rodziny* zmarłego, jego kolegów i dużej części społeczeństwa, wobec takiego zachowania.

Lipiec napisał, że jako kolega klubowy Gosiewskiego poczuł się bezpośrednio dotknięty takim stwierdzeniem - bowiem przez wiele lat współpracował z posłem.

Według posła PiS, Palikot swym zachowaniem dopuścił się także znieważenia i zniesławienia pamięci po Gosiewskim. Zdaniem Lipca, można by przejść obojętnie wobec słów posła PO, znanego z *bulwersujących wypowiedzi skierowanych tylko na zdobycie rozgłosu medialnego*, gdyby jego słowa były zgodne z prawdą i nie naruszały dóbr osobistych innych ludzi lub ich rodzin.

Jednakże wypowiedzi dotyczące pamięć i cześć osób zmarłych zasługują na szczególną dezaprobatę i napiętnowanie społeczne - napisał poseł. Lipiec dodał, iż nie może być tak, że wolność słowa będzie naruszana przez osobę, dla której w polityce nie powinno być miejsca.
(PAP)

Jaki pan, taki kram

Nie do pojęcia dla mnie jest zainteresowanie mediów wybrykami wulgarnego błazna, który mieni się przyjacielem znanego polityka, roszczącego sobie prawa do herbu i hrabiowskiego tytułu. Pan Kmicic kazałby swoim oficjalistom wychłostać takiego parobasa i zapędzić do wywożenia gnoju.

Żyjemy jednak w czasach opisywanych przez Gombrowicza, a nie Sienkiewicza. U Gombrowicza to panicz zabiega o względy parobka i podstawia mu głębę do bicia.

Tak czy owak, według znanego chyba panu hrabiemu kodeksu Boziewicza, sukinkot, który obraża pamięć zmarłych, nie ma żadnej zdolności pojedynkowej. Przede wszystkim nie należy się z nim zadawać. Nie należy również z nim dyskutować i o nim mówić, tak jak nie mówi się o zepsutym powietrzu w salonie. Można tylko go przepędzić jak skunksa i starannie po nim wywietrzyć.

Kilka lat temu w Empiku zainteresował mnie tytuł w "Nie" Urbana (dotyczył sprawy FOZZ), więc wzięłam pismo do ręki. Stojący obok pan w okularach wrzasnął na całą salę: „coś tu strasznie śmierdzi” i manifestacyjnie się odsunął. [Szybko odłożyłam pismo na półkę i zawstydzona odeszłam.](#)

Powinniśmy zastosować podobną strategię wobec indywiduum ze świńskim ryjem. Wyłączać natychmiast telewizor, gdy się pojawi. Odkładać w kiosku pismo, które przeprowadziło z nim wywiad. Wychodzić, kiedy gdzieś przyjdzie. Nie podawać ręki. Odwracać się plecami. Całkowicie zasłużył sobie na taki ostracyzm, a ludzie szybko się zorientują, że [kontakt z nim płami. Pan hrabia chyba jednak tego nie zrozumie. Taki bystry to on nie jest.](#)

Izabela Brodacka-Falzmann; 19-07-2010 18:12

Palikot jest niczym Stańczyk, lecz na lidera się nie nadaje

Money.pl: Coraz bardziej kontrowersyjne wypowiedzi Janusza Palikota spowodowały, że europoseł Platformy Filip Kaczmarek domaga się wyrzucenia lubelskiego posła z partii. Czy poseł skandalista rzeczywiście zostanie usunięty z PO?

prof. Kazimierz Kik, politolog: Palikot jest teraz bardziej potrzebny [Platformie](#), niż kiedykolwiek wcześniej. Prawo i Sprawiedliwość przystępuje właśnie do bezpardonowej walki. [Jarosław Kaczyński](#), jak mocno raniony tygrys, jest teraz bardziej agresywny. Zastosował wszelkie chwyt, także te poniżej pasa, żeby tylko utrzymać poparcie.

Po stronie Platformy nie ma wielu polityków zdolnych odpowiedzieć na ataki. Do tego właśnie potrzebny jest Palikot, który jest charakternikiem. On może odpowiednio odpowiedzieć na zaczepki Jarosław Kaczyńskiego.

Jednak jego wypowiedzi są bardzo kontrowersyjne. Zdecydowanie ostrzejsze niż innych polityków Platformy. Nawet [Stefan Niesiołowski](#), który znany jest z niechęci do PiS, nie używa tak agresywnego języka.

Palikotowi nie zależy na politycznej karierze, a na popularności. Większość polityków liczy na jakieś stanowiska i awanse, stąd ich zachowania są stonowane. Uważają, w jaki sposób mówią o kościele, w jaki sposób mówią o opozycji. Uważają, żeby nie urazić swoich wyborców. Tymczasem Palikot nie zważa na to żeby kogoś nie obrazić. Jest nastawiony na zdobycie popularności, a nie na robienie kariery politycznej. Dlatego pozwala sobie na więcej.

Czyli Palikot w Platformie to taki średniowieczny, królewski błazen? Obraża wszystkich, jednocześnie wytykając błędy.

Można go porównać wręcz do Stańczyka, bo nie każdy błazen mógł sobie pozwolić na tak dużo. Oczywiście, Palikot nie jest ideałem. Jest wytworem niskiej wartości polskiej klasy politycznej. Utożsamia wszystkie jej wady, wynikające z negatywnego doboru. Partie polityczne, które funkcjonują w Polsce reprezentują wodzowski, a nie partnerski model zarządzania. Liderzy dobierają sobie ludzi o podobnych poglądach, marginalizując tych co mają odmienne zdanie. Efekt jest taki, że mamy partie wykonawców a nie samodzielnie myślących polityków.

Polityka stała się grą zespołową, więc ci którzy chcą coś powiedzieć są usuwani na margines. Tak stało się z [Andrzejem Olechowskim](#), [Ludwikiem Dornem](#), [Kazimierzem Marcinkiewiczem](#) i wieloma innymi politykami odsuniętymi na bok.

Oczywiście duża część polityków ma coś do powiedzenia i mogliby działać samodzielnie, jednak zachowują oni te poglądy dla siebie. W partiach są oni ukrywani w tłumie wykonawców.

Tak jest w każdej partii, jednak najwięcej wykonawców jest właśnie w PiS. Wracając jeszcze do Palikota: on reprezentuje właśnie tych samodzielnych polityków. Chociaż nie jest najwyższych lotów.

Nie jest najwyższych lotów? Dlaczego?

Ponieważ jest to polityk destrukcji. Nie jest w stanie stworzyć nic [trwałego](#). Wystarczy spojrzeć na jego komisję.

Został z niej wyrzucony, a po powrocie stracił zainteresowanie i znudził się jej pracami.

Mało że się znudził. Nie zrealizował żadnego z zadań postawionych przed tą komisją. Tam, gdzie trzeba było pracy organicznej, cichej i mozolnej, która pozwoliłaby tworzyć [dobre](#) prawo i rzeczywiście likwidować bariery Palikot poległ.

Mógł stać się tym politykiem, który wnosiłby wartościowe projekty [ustaw](#), jednak nic takiego się nie stało. Komisja pracowała chaotycznie i w bałaganie. Palikot zawiódł jako polityk konstruktywny. Skoncentrował się za to na socjotechnice i PR. Jednak trzeba przyznać, że koncentracja na tych właśnie aspektach polityki cechuje większość polskich polityków. To są ludzie skupieni na walce i destrukcji, a nie na konstrukcji czegoś nowego. To jest właśnie największa słabość polskiej polityki.

Czy główne partie polityczne powinny się Palikota obawiać? [Twierdzi, że jest gotów założyć własną partię, która reprezentuje 10 milionów ludzi.](#) Może jego ugrupowanie mogłoby zmienić politykę?

Moim zdaniem nie należy mylić popularności z poparciem. Palikot nie jest kandydatem na lidera. Nie byłby w stanie poprowadzić nowego, konstruktywnego ugrupowania. Jeśli już, to byłby raczej szefem kolejnej populistycznej partii, która by ściągała różnych frustratów i niezadowolonych. Ale na pewno nie konstruktywnego ruchu, który mógłby coś zmienić.
rozmawiał Piotr Kucharski

W Platformie coraz ostrzejsza wojna o Palikota

Sąd koleżeński PO 6 sierpnia rozpatrzy wniosek europoła Filipa Kaczmarka o wykluczenie **Janusza Palikota** z Platformy. Jednocześnie sąd zajmie się wnioskiem **Stanisława Żmijana**, który chce ukarania Kaczmarka - poinformował przewodniczący sądu Wiktor Tyburski.

Kaczmarek chce wykluczenia szefa lubelskiej za jego wypowiedzi dotyczące prezydenta [Lecha Kaczyńskiego](#), m.in. o potrzebie zbadania, czy Kaczyński nie był pod wpływem alkoholu, gdy wchodził na pokład samolotu, który rozbił się pod Smoleńskiem.

Żmijan domaga się z kolei ukarania Kaczmarka za to, że europoseł swoim postępowaniem - przede wszystkim związanym z wnioskiem o wykluczenie Palikota - naruszył zasady regulujące stosunki między członkami PO i nie działał w interesie partii.

Jak poinformował przewodniczący Krajowego Sądu Koleżeńskiego PO Wiktor Tyburski, Żmijan przytacza m.in. dane statystyczne, z których ma wynikać, że Palikot poprawił sytuację PO w regionie lubelskim. Oznacza to - według wnioskodawcy - że Palikot jest [dobrym](#) działaczem Platformy, a wniosek o jego wykluczenie jest nieuzasadniony.

Wnioski - datowane na 7 lipca - wpłynęły do sądu 15 lipca, a zarządzenia w sprawie obydwu trafiły już do [biura](#) krajowego PO, skąd kurierem zostaną przesłane do zainteresowanych stron.
(PAP)

[Zaprzysiężenie prezydenta ułatwi ukrycie decyzji partyjnego sądu nad Januszem Palikotem](#)

Drwienie z ofiar w interesie Platformy?

6 sierpnia to nie tylko dzień planowanego zaprzysiężenia prezydenta Bronisława Komorowskiego. Tego samego dnia Sąd Koleżeński Platformy Obywatelskiej rozpatrzy wniosek o wykluczenie z partii wiceprzewodniczącego klubu PO Janusza Palikota. Trudno nawet wątpić, że data rozpatrzenia sprawy Palikota jest nieprzypadkowa. To najdogodniejszy termin, aby wielkim wydarzeniem politycznym, jakim jest zaprzysiężenie prezydenta, odwrócić uwagę od niechęci do wyciągnięcia realnych konsekwencji wobec posła szydzącego z ofiar smoleńskiej katastrofy. Europoseł PO Filip Kaczmarek, który złożył wniosek o wykluczenie Palikota, sam będzie musiał tłumaczyć się przed partyjnym sądem za działanie "na szkodę" partii.

Kiedy cała uwaga opinii publicznej i widzów przed telewizorami skoncentrowana będzie na uroczystości zaprzysiężenia nowego prezydenta RP, niewielu zwróci uwagę i dotrze do informacji, iż tego samego dnia Sąd Koleżeński Platformy Obywatelskiej rozpatruje wniosek o wykluczenie z partii Janusza Palikota. Trudno się dziwić kolegom wiceszefa klubu Platformy, iż datę sądu nad nim wyznaczono w dniu, w którym przysięgę złożyć ma, według zapowiedzi marszałka Sejmu Grzegorza Schetyny, nowo wybrany prezydent. Gdyby sąd nad Palikotem był najważniejszym wydarzeniem dnia, wielu polityków PO musiałyby świecić oczami za decyzję o pozostawieniu go w szeregach Platformy. A zaprzysiężenie prezydenta ułatwi ukrycie decyzji partyjnego sądu.

Ogłoszenie, w najlepszym czasie antenowym, kolejnej decyzji organów dyscyplinarnych PO wskazującej, że faktycznie Palikot jest nietykalny, mogłoby budzić ogromny niesmak nawet wśród tych, którzy nie są zwolennikami politycznych rywali Platformy. Tym bardziej że wiceszef klubu PO konsekwentnie publicznie drwi z ofiar katastrofy rządowego samolotu.

Odporny na kary

Janusz Palikot był przez partię "karany" niejednokrotnie. Zazwyczaj były to słowne połajanki. Do pewnego stopnia dotkliwą dla posła z Lubelskiego karą mogło być odebranie przewodniczenia w stworzonej przez niego sejmowej komisji "Przyjazne państwo", gdyby nie to, że na stanowisko przewodniczącego, po paru miesiącach, triumfalnie wrócił. Trudno jednak Platformie karać posła za prowadzenie działalności mającej aprobatę samego szefa - Donalda Tuska. Gdyby przewodniczący Platformy chciał, już dawno mógłby porządek z Januszem Palikotem zrobić. "Kary" nakładane na niego wynikały jednak nie ze szczerzej chęci upomnienia posła ze względu na jego skandaliczne i pozbawione dobrego smaku działania, lecz z zimnej kalkulacji, gdyż specjaliści Platformy od propagandy uznali, że aby nie stracić w oczach opinii publicznej, wypada dać posłowi jakieś upomnienie.

Problemy posła... Kaczmarek

Tym razem Sąd Koleżeński PO w sprawie Palikota zbierze się w wyniku wniosku złożonego przez europosła Platformy Filipa Kaczmarka o wykluczenie Palikota z Platformy w związku z wypowiedziami wiceszefa klubu PO, który mówił m.in. o konieczności zbadania, czy prezydent śp. Lech Kaczyński był trzeźwy, gdy wchodził na pokład lecącego do Smoleńska rządowego samolotu.

O nastrojach w Platformie dotyczących ukarania Palikota najlepiej świadczy to, jakie problemy wniosek napotkał.

Najpierw okazało się, że nie został on podobno właściwie podpisany i Kaczmarek był zmuszony do ponownego jego złożenia. Tym samym europoseł PO otrzymał szansę na przemyślenie swojej decyzji, czy naprawdę chce wystąpić przeciw Januszowi Palikotowi. Skuteczne złożenie wniosku o wykluczenie wiceszefa klubu PO z partii pociągnęło z kolei wniosek przeciwko Kaczmarkowi. Poseł Platformy Stanisław Żmijan domaga się bowiem ukarania Kaczmarka, który w jego ocenie działa na szkodę Platformy i złamał zasady "regulujące stosunki między członkami Platformy Obywatelskiej". Sąd Koleżeński rozpatrzy wniosek Żmijana również 6 sierpnia.

Żmijan powołuje się także na dane statystyczne mające wskazywać, iż Janusz Palikot poprawił sytuację lubelskiej Platformy i nie ma podstaw, by go z partii wykluczać.

Czy nie dysponując protokołami sekcji zwłok, polska prokuratura miała prawo wydać zgodę na pochówek ofiar katastrofy prezydenckiego samolotu?

Rosjanie nie życzyli sobie otwierania trumien

Polska prokuratura, nie dysponując protokołami sekcji zwłok, powinna wstrzymać pochówek ofiar do czasu przeprowadzenia niezależnych badań przez polskich lekarzy. Z ekspertyzy sporządzonej przez mecenas Krystynę Kosińską wynika, że wobec braku możliwości zapoznania się z takimi protokołami pozwolenie na pochówek ofiar katastrofy z 10 kwietnia zostało wydane w sposób "nieuprawniony". Adwokat podkreśla, że wynika to z obowiązujących przepisów - art. 209 kodeksu postępowania karnego, który obowiązuje do sporządzenia protokołu czynności sekcji zwłok i oględzin. -

Stanowi on podstawę dalszych decyzji prokuratorskich - podnosi Kosińska.

Rodziny ofiar katastrofy smoleńskiej uważają, że strona polska zaniedbała przeprowadzenie własnych badań i sekcji zwłok osób, które zginęły w prezydenckim samolocie. Zgodnie z polskim prawem w przypadku podejrzenia "przestępczego spowodowania śmierci" przeprowadza się sekcję zwłok. Prokurator musi też wyrazić zgodę na dokonanie pochówku tych osób.

- Jeżeli w Rosji nie była zrobiona sekcja zwłok przy udziale polskich patologów, to powinna być przeprowadzona w Polsce, od razu po przywiezieniu zwłok, żeby nie opierać się na dokumentach rosyjskich - uważa Andrzej Melak, brat tragicznie zmarłego w katastrofie Stefana Melaka, szefa Komitetu Katyńskiego.

O tym, że polscy patolodzy nie byli obecni przy sekcjach zwłok, poinformowała niedawno prokuratura. Jako powód podano, że przybyli oni do Moskwy za późno, kiedy sekcje zwłok już wykonano. Tuż po katastrofie minister zdrowia Ewa Kopacz przekonywała, że polscy patomorfologowie uczestniczyli w oględzinach i sekcjach zwłok. Teraz okazuje się, że z informacji pochodzących od rodzin ofiar bynajmniej nie wynika, czy takie sekcje przeprowadzono w przypadku każdej z nich. Małgorzata Wassermann, córka posła PiS, mówi, iż podczas pobytu w Moskwie na identyfikacji ciał nie informowano jej o takich czynnościach. Rodziny otrzymały jedynie dokumenty stwierdzające zgon, a w nich były lapidarne informacje, że nastąpił on wskutek katastrofy samolotu, zaś przyczyną śmierci były obrażenia wynikłe z tego zdarzenia. Dokumenty te zostały przetłumaczone i uwierzytelnione przez polskiego konsula, a następnie w Polsce w oparciu o nie wystawiono akty zgonu.

Jednak bliscy ofiar twierdzą, że w świetle tych wszystkich niejasności i wątpliwości po przywiezieniu zwłok polscy biegli powinni przeprowadzić własne, odrębne badania. Według nieoficjalnych informacji, nie życzyli sobie tego Rosjanie, którzy wymogli na Polskę, żeby trumien ofiar katastrofy nie otwierano.

- To nie polska prokuratura decydowała - mówi "Naszemu Dziennikowi" płk Zbigniew Rzepa, rzecznik Naczelnej Prokuratury Wojskowej, zapytany, czy prokuratura podejmowała jakiegokolwiek decyzje w sprawie pochówku ofiar katastrofy. Zastrzega, że nie zna szczegółów sprawy i musi je sprawdzić.

Prawnicy jednak wskazują, że zgodnie z wymogami prawnymi w przypadku podejrzenia "przestępczego spowodowania śmierci" przeprowadzane są badania i sekcja zwłok. To w oparciu o nie prokurator wydaje zgodę na pochówek. Zgoda taka jest wymagana przez polskie urzędy stanu cywilnego w chwili wystawiania aktu zgonu. Protokoły z oględzin i sekcji zostały sporządzone przez rosyjskich śledczych, ale mimo wniosku o ich przekazanie dotychczas nie dotarły do Polski. Czy wobec tego prokuratura, nie dysponując tymi protokołami, nie powinna wstrzymać pochówku ofiar do czasu przeprowadzenia niezależnych badań przez polskich lekarzy?

Mecenas Krystyna Kosińska uważa, że wobec braku możliwości zapoznania się z takimi protokołami pozwolenie na pochówek ofiar katastrofy zostało wydane w sposób "nieuprawniony". Adwokat podkreśla, że wynika to z obowiązujących przepisów, jak art. 209 kpk. Mówi on o sporządzeniu protokołu czynności sekcji zwłok i oględzin. - I stanowi on podstawę dla decyzji prokuratorskich - podkreśla Kosińska.

Adwokat Wojciech Gawkowski reprezentujący rodzinę ofiary katastrofy stwierdza, że prokuratura powinna skorzystać z możliwości przeprowadzenia własnych badań patomorfologicznych. - Nie

ma takiego wymogu, istnieje tylko możliwość, ale z tej możliwość wtedy nie skorzystano - wskazuje.

Dlatego też wiele rodzin sygnalizuje konieczność przeprowadzenia ekshumacji. Wniosek taki złożyła już Beata Gosiewska, wdowa po pośle Przemysławie Gosiewskim.

- Przeszkód prawnych, żeby z urzędu taką ekshumację przeprowadzić, i jeszcze raz sekcję zwłok, nie ma - uważa mecenas Gawkowski.

Prawnicy podkreślają, iż rodziny ofiar mogą domagać się przeprowadzenia ekshumacji m.in. w sytuacji, kiedy zachodzą uzasadnione podejrzenia, że przyczyny zgonu są inne od oficjalnie podawanych lub że w grobie pochowano zupełnie inną osobę.

Mecenas Piotr Kwiecień przypuszcza, że polscy prokuratorzy przyjęli zapewnienia Rosjan, iż ci przeprowadzili wszystkie niezbędne działania, tzn. sekcję zwłok i inne badania, oraz że protokoły tych czynności trafią niebawem do Polski. W jego ocenie, mogło zabraknąć im wówczas woli, aby przeprowadzić własne czynności śledcze.

- Polska prokuratura działa w interesie państwa polskiego i powinna brać pod uwagę interes polskich pokrzywdzonych - podkreśla adwokat. I dodaje, że prokuraturze zabrakło odwagi, aby podjąć własne działania śledcze, które mogła wówczas przeprowadzić. Co więcej, taka postawa jest nadal reprezentowana.

- Prokuratura czekała w pewnych obszarach na inicjatywę rodzin ofiar - wskazuje Piotr Kwiecień.

Zenon Baranowski

Diagnostując zjawisko "putinizacji" Polski. Nagle się okazuje, że zadawanie merytorycznych pytań o katastrofę pod Smoleńskiem jest nazywane wojną, agresją, sianiem nienawiści

Ogary poszły w las

Z Andrzejem Maciejewskim, ekspertem ds. polityki z Instytutu Sobieskiego, rozmawia Paulina Jarosińska

Mamy do czynienia z niespotykaną dotychczas kumulacją przejawów agresywnego, niewybrednego języka w debacie publicznej. Znamienne, że retorykę na bardzo niskim poziomie reprezentują nie tylko posłowie PO, tacy jak Janusz Palikot czy Stefan Niesiołowski, ale również dziennikarze. Jak Pan ocenia to zjawisko wulgaryzacji języka?

- W ostatnim czasie możemy wyróżnić dwa etapy. Pierwszy - to czas do końca kampanii wyborczej, do samych wyborów. Zwróciłbym uwagę, że na tym etapie temat smoleński i wątek wszelkich niedociągnięć z nim związanych nie został przez Jarosława Kaczyńskiego koniunkturalnie wykorzystany, co jest według mnie fenomenem i znakiem wielkiej klasy, ponieważ być może sięgnięcie po tragedię z 10 kwietnia przyniosłoby mu zwycięstwo. Pamiętajmy, że w kampanii wyborczej wyciąga się przeważnie wszystkie słabości przeciwnika. Jarosław Kaczyński nie zagrał - jak to powiedział pan Bartoszewski - "trumnami", i było to bardzo nie na rękę Platformie. Platforma Obywatelska tego oczekiwała - byłby to pretekst do otwartej walki politycznej. To jest ten pierwszy etap.

Co się zmienia w drugim etapie?

- Jest już po wyborach, mamy nowego prezydenta elekta i w tym momencie mogę spokojnie stwierdzić, że mamy do czynienia z "putinizacją" Polski, bo nagle się okazuje, że zadawanie merytorycznych pytań jest nazywane wojną, agresją, sianiem nienawiści. Partia opozycyjna stawia pytania o katastrofę smoleńską, ale okazuje się, że nie ma prawa tego robić. Widzimy marginalizację opozycji. Mamy do czynienia z procesem, jaki zaszedł w Rosji, z tym, co zrobił Putin z mediami i opozycją, z takim samym uwłaszczeniem.

Premier Rosji staje się "mistrzem" dla PO. Jesteśmy właśnie świadkami zamykania ust opozycji. Opozycja w demokracji jest potrzebna tak samo jak władza. Strona

rządowa w Polsce nie chce opozycji, chce ograniczyć jej rolę, żeby nie powiedzieć - całkowicie odebrać jej prawo do istnienia. Słyszymy, że wypowiedzi Palikota to wyraz jego osobowości, mówi się, że on już taki jest, nic nie można z nim zrobić.

Gdyby wypowiedzi tego typu padały z ust posłów Prawa i Sprawiedliwości, to jasne jest, że byłoby to uznane za język nienawiści. W przypadku Palikota nie jest to język nienawiści, a po prostu inteligencja, jakaś twórczość, oryginalność, działanie niekonwencjonalne. To jest kuriozalne zjawisko, które mnie przeraża. Media nie widzą tego, że zabija się opozycję. Teraz jeszcze tego nie "doceniamy", ale tworzy się ośrodek jednomyślności, zgody, którego celem jest stłamszenie obozu opozycyjnego.

Gdzie można szukać źródeł takiej retoryki?

- Do momentu, gdy żył prezydent Lech Kaczyński, było wiadomo, że dla PO wrogiem numer jeden był właśnie on, ponieważ wszystko wetował, na nic Platformie nie pozwalał i w ogóle ustawy jeszcze nie było, a już było wiadomo, że prezydent się jej sprzeciwi. Teraz cała agresja skumulowała się na PiS i na Jarosławie Kaczyńskim - jako na tych kontynuujących linię polityczną zmarłego prezydenta. Z przerażeniem stwierdzam, że media nie oczekują i nie domagają się od władzy konkretów, reform. Komorowski powielał hasła, których PO nie zrealizowała do tej pory. Trwa w Platformie śpiew kłamliwej piosenki. Społeczeństwo jest ogłupione i z podziwem, jak zakłębte, patrzy na to wszystko.

Można odnieść wrażenie, że jest przyzwolenie na taki język. Palikot dalej jest w Platformie, a na forum internetowym "Gazety Wyborczej" moderator pozostawia komentarze internautów typu: "Jarosław Kaczyński dla dobra Polski powinien zginąć 10 kwietnia"...

- Myślę, że mamy tutaj do czynienia z wrywkową oceną w debacie politycznej. Panuje zasada: jeśli mój mówi, to mówi dobrze zawsze, jeżeli mówi przeciwnik, to cokolwiek powie, jest źle. Jeśli chodzi o media tzw. opiniotwórcze, takie jak "Gazeta Wyborcza" czy TVN, to nie mam już nawet jako politolog ochoty czytać czy oglądać ich publicystyki. Okazuje się bowiem, że debata publiczna jest w nich mylona z wiecem wyborczym. Chętnie przypomnę redaktorom naczelnym: mamy prezydenta, mamy rząd, który wycofuje się z obietnic, i nikt o tym w mediach nie mówi. Ludziom podaje się prymitywną papkę i wychodzi z założenia, że "głupi lud to kupi". To jest właśnie ta "putinizacja" mediów i społeczeństwa. Ucieka esencja życia politycznego przez taki styl debaty publicznej. Przestaje liczyć się to, że jest kultura polityczna, że istnieje coś takiego jak zadawanie pytań. Po dwudziestu latach mamy do czynienia z uwstecznieniem demokracji.

Nie ma rozwoju, tylko regres. Polska rzeczywistość polityczna zaczyna przypominać czasy bolszewickie, tylko że w formie bardziej wyrafinowanej.

Skąd wzięła się teza o rzekomej metamorfozie Jarosława Kaczyńskiego - że na czas kampanii przeszedł jakąś metamorfozę, a teraz jakoby zrzucił tę maskę?

- Jarosław Kaczyński, jak już powiedziałem na początku, wykazał się ogromną klasą, ponieważ choć mógł, nie wykorzystał tematu Smoleńska w kampanii. Powiedział na początku, że musi w ogóle nastąpić zmiana po tragedii w politykach wszystkich opcji. Proponował wyciągnięcie mądrych wniosków z tego, co się stało.

Mówił, że kampania ma się toczyć wokół kwestii programowych, wokół problemów w kraju tu i teraz. W Polsce problem procesu, który określam jako "putinizację", ogranicza rozliczanie działań rządu. W Ameryce wiceprezydent musi zwrócić pieniądze zdobyte w niejasny sposób na kampanię. W Polsce politycy mający taki "problem" są bohaterami i nikt ich z niczego nie rozlicza. W standardach naprawdę demokratycznych zachowania, które u nas są uznawane za normalne, byłyby od

razu wypunktowane i ocenione we właściwy sposób, jako naganne, a w momencie pojawienia się jakichkolwiek wątpliwości, zostałyby wyciągane konsekwencje. Przypomnę tu sytuację z debaty w prawyborach na kandydata na prezydenta w PO. Radosław Sikorski powiedział wówczas, że można być niskim wzrostem, ale nie można być małym człowiekiem. Za taką wypowiedź w każdym normalnym państwie premier wywaliłby szefa MSZ, który nie szanuje władzy konstytucyjnej. Zostały stworzone fałszywe kanony poprawności i jednocześnie wrogości. Społeczeństwo w pewnej mierze daje na to placet. To wszystko świadczy o tym, że "charty" polityczne, takie jak Palikot, będą dalej funkcjonować i działać w stylu odbiegającym od standardów debaty publicznej.

Dziennikarze dosłownie rzucili się na Kaczyńskiego po tym, jak zdał relację ze Smoleńska dopiero po wyborach prezydenckich. A przecież tak naprawdę nie powiedział nic ponad to, co do tej pory było wiadome.

- Tutaj warto w ogóle skomentować, jak działają media w Polsce. W Ameryce media zawsze stały na straży wyciągania wszelkich afer na szczytach władzy, zaczynając od afery Watergate po wszelkie nadużycia finansowe. U nas media stają się tubą propagandową partii rządzącej. Nie rozliczają władzy z obietnic. Mit przemienionego Jarosława Kaczyńskiego był i jest potrzebny PO w walce o monopol władzy. Kaczyński nie daje się wciągnąć w PR według gry Platformy, a przecież to właśnie odpowiedni PR rządzi obecnie w Polsce.

Dziękuję za rozmowę.

W projekcie prawa geologicznego i górniczego nie ma korzystnych regulacji dla interesu Narodu jako faktycznego właściciela struktur geologicznych

Prawo do wnętrza ziemi

Wielu polskich geologów i górników jest zatrwożonych stanem kontroli państwa nad gospodarką surowcami naturalnymi w Polsce - zagrożone są bowiem żywotne interesy gospodarcze, środowiskowe i społeczne. Szczególne zaniepokojenie budzi projekt nowej ustawy Prawo geologiczne i górnictwo (Pgg).

Pozwalam sobie zabrać głos na ten temat, ponieważ pełniąc w latach 2005-2007 funkcję wiceministra środowiska i głównego geologa kraju w rządzie PiS, przygotowałem projekt ustawy o powołaniu Polskiej Służby Geologicznej oraz pierwszą wersję nowego projektu prawa geologicznego i górniczego. Gabinet Donalda Tuska zrezygnował z powołania tej służby, co wyklucza sens dalszego procedowania nowego projektu prawa geologicznego. Z punktu widzenia gospodarki strukturami geologicznymi, w tym eksploatacji surowców naturalnych, widzę niewyobrażalny kontrast pomiędzy tym, co rząd deklaruje w uzasadnieniu do projektu Pgg, a tym, co w nim jest zawarte. Podobną opinię wyraziłem również w liście otwartym do premiera Donalda Tuska (<http://morion.ing.uni.wroc.pl/teksty/aktualnosci.php?action=view&id=428>).

Polska musi mieć dobre prawo geologiczne i górnictwo, bo nasza gospodarka bazuje na eksploatacji zasobów naturalnych, a na tle krajów Unii Europejskiej jest niezmiernie bogata w zasoby naturalne zarówno przyrody ożywionej, jak i nieożywionej. Trzeba o tym pamiętać, gdy się konstruuje nowe prawo, tym bardziej że w wielu dziedzinach, szczególnie geologii, dzieje się bardzo źle. W Polsce nie istnieje służba geologiczna, około 50 proc. powiatów nie ma geologa powiatowego (w ten sposób łamane jest prawo), doświadczamy plagi nielegalnej eksploatacji zasobów (w tym bursztynu będącego naszą dumą narodową). Wynika to m.in. z tego, że obowiązujące prawo geologiczne i górnictwo jest nieadekwatne do potrzeb i warunków.

Szkodliwe regulacje

Zgodnie z obowiązującą ustawą (z roku 1994 z wieloma późniejszymi zmianami) złoża kopalin nieobjętych własnością gruntową oraz całe wnętrza ziemi znajdujące się poza granicami

przestrzennymi nieruchomości gruntowych są wyłączną własnością Skarbu Państwa. Głównym problemem jest więc takie zabezpieczenie tego dobra, aby służyło ono Narodowi bez względu na to, kto prowadzi działalność polegającą na gospodarowaniu strukturami geologicznymi, w tym w szczególności na eksploatacji lub bezzbiornikowym magazynowaniu substancji w górotworze. Prawo podejmowania i prowadzenia działalności gospodarczej jest gwarantowane przez Konstytucję, ale nie bez ograniczeń o charakterze podmiotowym i przedmiotowym. Ograniczenia pojawiają się m.in. przy działalności geologiczno-górnictwej polegającej na poszukiwaniu, rozpoznawaniu, eksploatacji lub tzw. bezzbiornikowym magazynowaniu substancji w górotworze - działalność ta jest koncesjonowana i kontrolowana przez Skarb Państwa. Ograniczenie to nie ma jednak charakteru bezwzględego, bo podmiot zbywający górniczy podmiot gospodarczy zbywa go w zasadzie bez ograniczeń, tj. wraz z koncesją i zgodą na użytkowanie górnicze. Oznacza to w praktyce, że każdy, kto dostanie zezwolenie na działalność geologiczno-górnictwą (koncesję), może je przekazać komuś innemu na dowolnych warunkach, a ten ze zdaniem Skarbu Państwa nie musi się liczyć.

Długotrwałe przejście przez dowolne podmioty gospodarcze, ktokolwiek na świecie byłby ich właścicielem, prawa do gospodarki strukturami geologicznymi w Polsce jest stosunkowo łatwe. Dzieje się tak m.in. dlatego, że organy udzielające koncesji i zgody w imieniu Skarbu Państwa (są to, w zależności od kopaliny lub wielkości i zakresu działalności, minister środowiska, marszałek województwa lub starosta powiatu) nie mają dobrych narzędzi kontrolujących zbywalność koncesji. Zważywszy na rosnące znaczenie struktur geologicznych w zabezpieczeniu żywotnych interesów narodowych (w tym bezpieczeństwa energetycznego), prawo geologiczne i górnicze dające takie zabezpieczenia jest więc kluczowe dla gospodarki suwerennego narodu. Ma to w szczególności znaczenie, gdy postępująca wszechstronna integracja w Unii Europejskiej może skutkować faktyczną utratą kontroli państwa nad wnętrzem ziemi znajdującym się w granicach Rzeczypospolitej. Każde państwo członkowskie UE ma do tego własną służbę geologiczną.

Jednocześnie sama eksploatacja surowców naturalnych nie daje istotnych zysków Skarbowi Państwa. Jedynymi bowiem istotnymi, faktycznymi i specyficznymi obciążeniami bezpośrednio wynikającymi z wydobywania kopaliny są opłaty eksploatacyjne. Są one bardzo niskie, w skali Polski - rzędu kilkuset milionów złotych rocznie.

Oczywiście, ma to swoje uzasadnienie ekonomiczne, ale tylko wtedy, gdy wydobycie własnych surowców zapewnia możliwość konkurencyjnego działania polskiej gospodarki. Nie ma to uzasadnienia, gdy eksploatacja jest prowadzona przez podmiot obcy, a jednocześnie kopalina jest eksportowana lub magazynowane są odpady pochodzące z zagranicy. W tej sytuacji powinny być zaproponowane mechanizmy prawno-ekonomiczne zabezpieczające Skarb Państwa, polegające także na opracowaniu, z umocowaniem w prawie geologicznym i górniczym, adekwatnych sposobów wyceny wartości ekonomicznej i strategicznej struktur geologicznych. Dziś nieliczne propozycje wyceny mogą być podstawą do takich działań, ale dotyczą one tylko niektórych rodzajów złóż, a nie struktur geologicznych, a przy tym nie mają one żadnego znaczenia w sensie umocowania w Pgg - w tym więc także zakresie przyjęcie projektu Pgg mogłoby być dla nas fatalne w skutkach.

W projekcie prawa geologicznego i górniczego nie ma korzystnych regulacji dla interesu Narodu jako faktycznego właściciela struktur geologicznych. Przejęcie prawa do eksploatacji przez podmiot gospodarczy niekoniecznie kierujący się wyłącznie interesem ekonomicznym ulokowanym na terenie Rzeczypospolitej może w niesprzyjających sytuacjach mocno naruszyć podstawy ekonomiczne Polski. W skrajnych warunkach można sobie wyobrazić nie tylko rabunkową eksploatację lub lokowanie odpadów niebezpiecznych w strukturach geologicznych trwale je wyłączających z użytkowania, ale także zaniechanie eksploatacji bez zrzeczenia się praw do koncesji lub obszaru górniczego. Może to oznaczać w skumulowanych przypadkach nagłe załamanie rynku surowców np. energetycznych, zamknięcie magazynów paliw, itp. Nie można w tej sytuacji wykluczyć, że taki scenariusz byłby pisany w krajach, które są w stanie wywierać naciski na podmioty gospodarcze działające w oparciu o koncesje udzielone przez ministra środowiska, ale mające swoje interesy głównie poza Polską.

Prowadzenie działalności geologiczno-górnictwej

Poważnym mankamentem proponowanego projektu jest dopuszczalna eksploatacja niektórych kopaliny na potrzeby własne. Pozornie - rozwiązanie bardzo dobre, bo niechże wreszcie właściciel ziemi będzie pełnym i jedynym właścicielem tego, co się w niej znajduje. Jednakże po głębszym

zastanowieniu trudno jest nie mieć wątpliwości, że zapisy te mogą być przyczyną dewastacji środowiska, niszczenia zasobów i uderzania w małe, często rodzinne przedsiębiorstwa górnicze (np. piaskownie, żwirownie). Utrzymanie takiego zapisu da możliwość rozwoju szarej strefie i doprowadzi do nieuczciwej konkurencji, ponieważ nie ma wątpliwości, że uzyskane w ten sposób kopaliny może będą o połowę tańsze i będą sprzedawane niemal bez ograniczeń, bo nikt nie będzie wiedział, ile wydobyto.

Zapis ten kontrastuje także z rządowym uzasadnieniem mówiącym o ograniczeniu biurokracji, bo obowiązuje następujący tryb postępowania: zawiadomienie starosty, zapoznanie się z planem zagospodarowania przestrzennego, ustalenie opłaty przez starostę (czy w formie postanowienia/decyzji - w oparciu o co?), możliwa decyzja urzędu górnictwa wstrzymująca wydobywanie, regulacje dotyczące trybu odwoławczego itd. Po każdej eksploatacji, także na potrzeby własne, środowisko ulega zmianom.

Przedsiębiorca ma obowiązek tworzenia specjalnego funduszu na likwidację zakładu i rekultywację terenu, ale osoba eksploatująca na własne potrzeby już nie musi tego robić. Kto i dlaczego ma więc ponosić koszty likwidacji i rekultywacji licznych pustek poeksploatacyjnych, które bez wątpienia będą stanowić dzikie wysypiska odpadów, i przyczyniać się do zanieczyszczenia wód (rzeki, jeziora, studnie). O wiele groźniejsze jest zwolnienie także przedsiębiorców posiadających koncesje udzielone przez starostów (małe piaskownie, żwirownie) z obowiązku posiadania i aktualizowania dokumentacji mierniczo-geologicznej oraz zwalnianie ich od tworzenia funduszu likwidacji zakładu górnictwa. Propozycja taka jest tym bardziej niebezpieczna, że duże złoża będą dzielone na małe obszary górnicze (do 2 ha) przez tego samego przedsiębiorcę w celach uniknięcia właściwego nadzoru państwa nad racjonalną i prawidłową gospodarką złożem. Obniży to koszty eksploatacji, ale zamieni duże tereny w podziurawione nieużytki pełne odpadów. Tego chyba nie chcemy? Służba geologiczna miała wspomagać administrację geologiczną w tym zakresie, ale obecny rząd zaniechał wspomnianego projektu ustawy o Polskiej Służbie Geologicznej.

Poważnym mankamentem projektu prawa geologicznego i górnictwa jest marginalizowanie roli służby mierniczo-geologicznej w odkrywkowych zakładach górniczych, które w chwili obecnej z uwagi na ich liczbę (około 5500 obszarów górniczych) zdecydowanie dominują w polskim górnictwie. Służba ta bowiem czuwa nad prawidłową i racjonalną gospodarką złożem, niekiedy naliczaniem wysokości opłaty eksploatacyjnej czy nawet bezpieczeństwem pracy górników, ponosząc przy tym odpowiedzialność w tym zakresie przed organami m.in. nadzoru górnictwa. Nowa ustawa groziłaby tym, że dowolnie dobrani przez przedsiębiorcę geodeci pełniący funkcję mierniczych górnictwa (geologicznych) wykonają obmiar satysfakcjonujący tego przedsiębiorcę, ale niekoniecznie w sposób oddający obiektywną rzeczywistość. Podobnie może to zwiększać straty w zasobach będących częścią zasobów przemysłowych, przesuwając je do nieprzemysłowych. Taki własny mierniczy będzie mógł prowadzić coś na kształt kreatywnej księgowości, co znowu pozwoli wybrać to, co najcenniejsze, zaniżyć opłaty eksploatacyjne, CIT, VAT itd. - wszystko pokryje ziemia, a co gorsza - złoża ulegnie zniszczeniu po wyeksploatowaniu części tego, co się w nim znajduje. Tu rola służby geologicznej byłaby trudna do przecenienia.

Analizując obecny projekt prawa geologicznego i górnictwa, można dostrzec, że w przypadku poszukiwania złóż kopaliny, które mają być eksploatowane metodą odkrywkową, zniesiono koncesję na poszukiwanie i rozpoznawanie. Może to spowodować, że tylko właściciele tych nieruchomości, w obrębie których prowadzone są/będą roboty geologiczne, staną się stronami postępowania. Będzie to oznaczać, że tylko oni są świadomi ewentualnego faktu udokumentowania złoża lub przyszłej jego eksploatacji. Wiadomo jednak, że konsekwencją eksploatacji są faktyczne ograniczenia z tym związane dla nieruchomości sąsiadujących (w tym ewentualny brak możliwości zabudowy), które mogą zostać objęte granicą złoża. Mimo to ich właściciele stronami już nie są. W sensie prawnym wydaje się to słuszne, ale moralnie nie, bo w przypadku objęcia ich nieruchomości granicą złoża ponoszą oni z tego tytułu konsekwencje bez prawa sprzeciwu czy wniesienia zastrzeżeń, gdyż nie są w tym postępowaniu, tj. na etapie zatwierdzania projektu prac geologicznych, uznani za stronę. Krótko mówiąc - będzie można w granicy dowolnej działki wykopać dół nawet o głębokości ponad 100 m i średnicy kilku kilometrów i właścicielowi przyległej działki nic do tego. A gdy już do tego dojdzie, to z racji późniejszego obowiązku ochrony tego złoża przez samorząd terytorialny samorząd ten nie może rozpatrywanych gruntów przeznaczyć na inne cele niż eksploatacja odkrywkowa. Czyli może się zdarzyć, że sąsiadujące działki mogą być przeznaczone tylko pod eksploatację i będą warte tyle,

ile zapłaci już działająca kopalnia (bo nikt inny tego i tak nie kupi - co z godziwą rekompensatą?). Problem ten obecnie też istnieje (w związku z koncesją na poszukiwanie i rozpoznawanie), ale nie jest tak poważny. W przypadku omawianych zapisów nikt nie zapyta o zdanie właściciela nieruchomości (na której terenie nie będą wprawdzie prowadzone roboty geologiczne, ale nieruchomość ta może znaleźć się w granicach udokumentowanego złoża) na etapie zatwierdzania projektu prac geologicznych w celach poszukiwania i rozpoznawania - co budzi wątpliwości także natury prawnej w kwestii zgodności z zapisami kodeksu cywilnego dotyczącymi ograniczenia prawa własności i zapisami konstytucyjnymi ochrony własności. Wydaje się, że powołanie się na gwarancje konstytucyjne, do których dostosowane byłoby nowe prawo, byłoby rozwiązaniem wartym rozważenia ze względu na nadrzędność Konstytucji nad innymi regulacjami wynikającymi także z umów międzynarodowych.

Brakujące regulacje

Głównym mankamentem proponowanego projektu prawa geologicznego i górniczego jest, po rezygnacji z powołania służby geologicznej, brak nowej koncepcji na tle analizy dotychczas obowiązującej ustawy Pgg.

Według dotychczasowej koncepcji zarówno obowiązującego, jak i nowego projektu Pgg elementy rozpoznawczo-wydobywcze są częścią zasadniczą. W wielu aspektach istniejące zapisy w omawianym projekcie w sposób niewystarczający zabezpieczają narodowe interesy w zakresie gospodarki strukturami geologicznymi. Po co więc nowe Pgg, zwłaszcza przy braku gruntownej oceny dotychczasowego lub innej przyczyny (np. powołanie PSG)?

Mimo próby nawiązania do mocno forsowanego w Unii Europejskiej magazynowania CO₂ w strukturach geologicznych (ang. Carbon Capture and Storage - CCS - wychwytywanie i magazynowanie dwutlenku węgla) czy bezzbiornikowego magazynowania odpadów promieniotwórczych, np. w strukturach solnych, albo podziemnego procesowania (zgazowania) węgla w projekcie Pgg nie proponuje się szczegółowych metod oceny, ani też kryteriów dopuszczenia struktur geologicznych do takiej działalności. Są to działania niosące potencjalnie duże niebezpieczeństwo dla obywateli, a traktowane są zdawkowo. Nie ma sprecyzowanych metod kontroli szczelności górotworu ani oceny ryzyka, tj. narządzi, jakie organ koncesyjny (państwo) musi mieć do dyspozycji i jakie powinny być stosowane przez przedsiębiorcę. Jeśli obecny rząd wprowadził zmiany w projekcie Pgg przygotowanym przez poprzedni rząd poprzez wstawianie do niego nazbyt szczegółowych jak na ustawę zapisów z rozporządzeń (czy tylko po to, aby jego projekt różnił się od projektu poprzedników?), to tak fundamentalne działania jak zabezpieczenie przed ucieczką gazów (często trujących) czy substancji promieniotwórczych z górotworu muszą znaleźć swoje fachowe rozwiązania także w tej ustawie. Ponadto nie ma odniesienia do mechanizmów służących ocenie ekonomicznej konkretnych przedsięwzięć CCS i możliwości zastosowania alternatywnych rozwiązań skutkujących ochroną struktur geologicznych przed dewastacją lub wyłączeniem ich z innej społecznie bardziej przydatnej działalności geologiczno-górnicznej, np. wykorzystania ciepła ziemi. Takim efektywniejszym i jednocześnie tańszym działaniem jest np. możliwość włączenia gospodarki leśnej do sekwestracji CO₂ (zamiast CCS, co byłoby wielkim atutem Polski) - jest tu miejsce na ścisłą współpracę leśników, energetyków i geologów.

Przedstawiony projekt Pgg nie jest też powiązany z Ustawą z roku 2001 o zachowaniu narodowego charakteru strategicznych zasobów naturalnych kraju, co czyni go ułomnym.

W nowym Pgg należałoby zadbać o dostępność i ochronę prawa do informacji geologicznej - dorobku pokoleń polskich geologów i górników i wydatków państwa oraz polskich przedsiębiorców. Jest to własność intelektualna, czasem o znaczeniu strategicznym. Proponowany projekt Pgg znacznie liberalizuje zasady nieodpłatnego dostępu do informacji geologicznej, której zdobycie pochłonęło ogromne środki publiczne. Z tego prawdopodobnie już dziś korzystają zagraniczne koncerny naftowe, żądając w zasadzie bezpłatnego udostępnienia np. całości krajowych danych geologicznych określonego typu (cyfrowych). Na straży informacji geologicznej musi stać sprawna służba geologiczna, a tej w Polsce nie ma.

W projekcie Pgg nie ma precyzyjnych kryteriów i skutecznych narzędzi pozwalających na zabezpieczenie przed wykupem przez obcy kapitał terenów, na których zlokalizowane są istotne dla interesów narodowych struktury geologiczne (potencjalne miejsce na magazyny paliw, złoża o strategicznym znaczeniu, zasoby ciepła ziemi, inne). Może to dotyczyć struktur solnych znajdujących się w pobliżu portów, linii kolejowych, rurociągów przesyłu gazu i ropy, wielkich konsumentów paliw (zakładów o kluczowym znaczeniu gospodarczym), dużych ośrodków

miejskich itd. Powołanie polskiej służby geologicznej miało na celu zabezpieczenie tych interesów kraju, a skoro z tego zrezygnowano, to konkretne zapisy w Pgg w tym zakresie wydają się niezbędne.

Jeśli ma być dopuszczalne wydobycie na własne potrzeby, to należałoby zaproponować reguły takiego działania. Tego w sposób skuteczny, bez sprawnej administracji geologicznej wspartej służbą geologiczną, zrobić się jednak nie da. Choćby dlatego z takiego zapisu należy więc zrezygnować lub wrócić do zarzuconej ustawy o powołaniu służby geologicznej oraz wprowadzić lepsze zapisy o wsparciu administracji geologicznej szczebla powiatowego i wojewódzkiego.

Nie ma żadnego nawiązania w projekcie Pgg do własności i nabywania praw do koncesji dotyczących złóż będących w jurysdykcji Międzynarodowej Organizacji Dna Morskiego (albo innych państw). A przecież Polska jest jednym z ważnych udziałowców działki zlokalizowanej na Pacyfiku. Jak zabezpieczony jest interes RP w tym zakresie? Kto za kilka lat będzie zarabiał na polskich prawach do tych złóż? Polacy ponieśli koszty badań, ale kto zarobi na eksploatacji? Oczywiście różne, ale nie polskie koncerny, mają technologie albo je intensywnie rozwijają, tymczasem plan budowy statku i rozwoju własnych technologii na takie potrzeby został zarzucony przez obecny rząd. O to miała zadbać Polska Służba Geologiczna.

Co prawda, część zadań takiej służby państwo okresowo powierza Państwowemu Instytutowi Geologicznemu, ale nie jest on faktycznie służbą, tylko jednostką badawczą. Jeśli mamy mieć nowe prawo geologiczne i górnicze, to poza powyższymi i wieloma niewymienionymi zagadnieniami jego wyróżniającymi cechami powinny być także dopasowanie do funkcjonowania służby geologicznej powiązanej strukturalnie i finansowo z administracją geologiczną (szczebla powiatowego i wojewódzkiego) oraz ściśle współpracującą z Wyższym Urzędem Górniczym.

Z pewnością Polska potrzebuje lepszego prawa geologicznego i górniczego, ale jednocześnie niezbędne jest powołanie polskiej służby geologicznej. Oby nie było za późno, a słowa Tadeusza Czackiego (komisarza Komisji Kruszcowej): "Kraj mógłby być możny i bogaty - nie użyliśmy daru natury", wypowiedziane tuż po trzecim rozbiorze Polski, miały wyłącznie znaczenie historyczne, tak jak - mam nadzieję - obecny projekt prawa geologicznego i górniczego.

PS. Autor artykułu serdecznie dziękuje wielu geologom i górnikom praktykom, których uwagi stały się ważnym elementem tego tekstu. Z różnych względów nie zamieszczam nazwisk tych osób.

Prof. dr hab. Mariusz-Orion Jędrysek jest pracownikiem Zakładu Geologii Stosowanej i Geochemii w Instytucie Nauk Geologicznych Uniwersytetu Wrocławskiego.

hab. Mariusz-Orion Jędrysek

Prof. dr

Dumni i niepokorni

(17.07) W Gdańsku odbyły się uroczystości pogrzebowe ks. Prałata Henryka Jankowskiego.

- Ksiądz Henryk Jankowski był i jest ikoną Solidarności - powiedział w kazaniu podczas mszy pogrzebowej b. proboszcza parafii św. Brygidy w Gdańsku metropolita gdański abp Sławoj Leszek Głódź. - Żegnaj rycerzu Rzeczypospolitej - mówił podczas homilii, wielokrotnie przerywanej oklaskami, gdański hierarcha. Jak podkreślił abp Głódź, wiadomość o śmierci prałata Jankowskiego obiegła całą Polskę i "poruszyła wiele serc czasami wydawało się wystygłych i niechętnych".



Żegnaj Rycerzu Rzeczypospolitej - mówił podczas homilii ks. abp Sławoj Leszek Głódź. fot. Paweł Głanert

Metropolita gdański przypomniał drogę kapłańską ks. Jankowskiego. - Był jednym z tych młodych kapłanów, których tamta sytuacja motywowała do zbliżenia się do spraw społecznych. Był świadkiem Grudnia'70, co wpłynęło na kształt jego kapłaństwa - mówił. Abp Sławoj Leszek Głódź dziękował również ks. Jankowskiemu za odbudowę kościoła św. Brygidy, za pomoc, jaką prałat niósł wielu parafiom w Gdańsku, w końcu za pomoc wszystkim, którzy przychodzili na plebanię św. Brygidy. Abp Głódź przypomniał również jak ks. Jankowski związał się z "S". W 1970 r. św. Brygida została przez prymasa Wyszyńskiego mianowana kościołem Stoczni Gdańskiej. - Nie mogłem spać w noc przed pierwszą mszą w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Stał mi przed oczami Grudzień'70 - czytał wspomnienia ks. Jankowskiego metropolita Gdański. Od tamtej pory jego życie związane było z "Solidarnością" a parafia była miejscem schronienia dla wielu ludzi "S", siedzibą władz Związku, ale przede wszystkim niosła pomoc wszystkim, którzy jej potrzebowali.



Delegacje "S" z wielu regionów i branż żegnały ks. Jankowskiego. *fot. Paweł Glanert*

W imieniu NSZZ "Solidarność" ks. Prałata Henryka Jankowskiego pożegnał przewodniczący Janusz Śniadek. Przewodniczący Komisji Krajowej przypomniał o roli kościoła w odzyskaniu przez Polskę niepodległości. - Bez Was wspaniałych kapłanów tak licznie tu obecnych! Bez polskiego kościoła nie byłoby Wolnej Polski!! Solidarność - urodziła się z Matką Boską na bramach strajkujących zakładów. Solidarność zwyciężyła, bo upomniała się również o krzyż. Trzeba to przypominać, zwłaszcza dzisiaj - mówił.



W imieniu NSZZ "Solidarność" żegnał ks. Prałata Jankowskiego, przewodniczący Komisji Krajowej Janusz Śniadek. *fot. Paweł Glanert*

Janusz Śniadek odniósł się również do obecnej sytuacji, mówiąc: Czy robimy dobry użytek z naszej wolności? Mające demokratyczny mandat władze, nie budują sprawiedliwości społecznej, ale prowadzą Polskę w przeciwną stronę. Rosną zagrożenia dla godności tych słabszych. Jan Paweł II nazwał takie zjawiska ograniczaniem wolności, o którą walczyła Solidarność. W 2003 roku mówiąc w Watykanie do naszej pielgrzymki o dzisiejszych problemach podkreślał jak bardzo Solidarność jest nadal potrzebna pracownikom dla obrony godności. Dlatego, - dumni z dotychczasowych dokonań, z podniesioną głową będziemy dalej kroczyć drogą, na którą: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” wszedł w roku 80-tym. Nie odłożymy naszych sztandarów!



[Ks. Henryk Jankowski zmarł 12 lipca w wieku 74 lat.](#)

Dział Informacji KK

Przemówienie Janusza Śniadka, przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” wygłoszone podczas uroczystości pogrzebowych ks. Prałata Henryka Jankowskiego, 17 lipca 2010 r. w Gdańsku.

Księżę Prałacie Henryku Jankowski, Legendo Solidarności! Nasz drogi kapelanie, przyjacielu, duszpasterzu i przewodniku.

Dzisiaj do Świętej Brygidy w Gdańsku znowu przybyły tłumy z Polski i różnych stron świata. Gromadzimy się z wielkiej potrzeby serca. Swoją obecnością chcemy wyrazić wdzięczność, szacunek i miłość do Ciebie Księżę Prałacie. Pochylamy głowy przed osobą, która nie zawiodła kiedy Polska i Solidarność były w potrzebie. Tym podbiła Nasze serca. Serca

Polaków, w których na nowo budzi się pragnienie wspólnoty opartej na wartościach. Z takiej potrzeby przed 30-tu laty narodziła się Solidarność.

Księżę Prałacie! Ty umiałeś odczytać znaki czasu. Twoim słowem i postawą trafiałeś do serc i sumień, stając się naszym przewodnikiem. Żegnamy w Tobie niezwykłego kapłana. W czasach bezprawia podczas nocy stanu wojennego uczyniłeś z tej świątyni sanktuarium wolności. Tutaj, w Świętej Brygidzie Polska zawsze była wolna! Niech ten pokłon przed Tobą będzie symbolicznym wyrazem wdzięczności dla wszystkich kapłanów, którzy jak Ty - jak błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko, prowadzili nas w mrocznych czasach imperium zła - drogami prawdy. Bez Was wspaniałych kapłanów tak licznie tu obecnych! Bez polskiego kościoła nie byłoby Wolnej Polski!! Solidarność - urodziła się z Matką Boską na bramach strajkujących zakładów. Solidarność zwyciężyła, bo upomniała się również o krzyż. Trzeba to przypominać, zwłaszcza dzisiaj.

Bóg - Honor - Ojczyzna. To zawołanie naszych ojców. To główne przesłania Twoich homilii Księżę Prałacie.

To wartości, które umieszczamy na sztandarach. Pierwszy sztandar związku został wykonany na Twoje zlecenie, zanim Solidarność zaczęła posługiwać się swoją nazwą i logo. Dlatego widnieje na nim tylko napis: MKS - Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. To sztandar wspólny krajowy i Regionu Gdańskiego zarazem – jest tu dzisiaj z nami.

Byłeś jak Solidarność - dumny i niepokorny, ale kochający Polskę i pochylający się nad człowiekiem. Dzisiaj mało mówi się o tym, jak pomagałeś rodzinom więzionych i internowanych, wszystkim tym, którzy przychodzili do założonej przez Ciebie Komisji Charytatywnej przy Kościele Świętej Brygidy. Zawsze byłeś sobą. Niezłomny i niezależny nie uległeś tzw. poprawności politycznej. Dlatego w wolnej Polsce szybko stałeś się niewygodny dla wielu polityków i wcześniejszych przyjaciół. My w związku rozumiemy taką sytuację szczególnie dobrze. Dzisiaj to co mówi Solidarność jest bardzo niewygodne dla elit władzy.

Sierpień - to było wielkie wołanie o wolność i o sprawiedliwość społeczną.

Obecnie cieszymy się wolnością, przebrnęliśmy przez trudności transformacji. Polakom żyje się coraz lepiej. Jednak: Czy robimy dobry użytek z naszej wolności? Mające demokratyczny mandat władze, nie budują sprawiedliwości społecznej, ale prowadzą Polskę w przeciwną stronę. Rosną zagrożenia dla godności tych słabszych. Jan Paweł II nazwał takie zjawiska ograniczaniem wolności, o którą walczyła Solidarność. W 2003 roku mówiąc w Watykanie do naszej pielgrzymki o dzisiejszych problemach podkreślał jak bardzo Solidarność jest nadal potrzebna pracownikom dla obrony godności. Dlatego, - dumni z dotychczasowych dokonań, z podniesioną głową będziemy dalej kroczyć drogą, na którą: Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” wszedł w roku 80-tym. Nie odłożymy naszych sztandarów! Nie zawrócimy z drogi! Dochowamy wierności przysiędze.

Księżę Henryku. Nasze ostatnie spotkania mają prawie symboliczny wymiar:

- po smoleńskiej tragedii spotkaliśmy się na Krakowskim Przedmieściu; gdy przybyłeś złożyć hołd Prezydenckiej Parze

- 6 czerwca w Warszawie wspólnie przeżywaliśmy radość polskiego kościoła z wyniesienia na ołtarze księdza Jerzego Popiełuszki

- pod koniec czerwca po wspólnej modlitwie w Bazylice, rozmawialiśmy na Zjeździe Regionu Gdańskiego.

Umawialiśmy się na kolejne spotkania. Bóg chciał inaczej. Nie doczekałeś 30-tych urodzin „Solidarności”.

Księżu Prałacie!, Za chwilę odprowadzimy cię na miejsce wiecznego spoczynku. Tu, w tym Kościele, jest Twoje miejsce także po śmierci. Dziękujemy Ekszelencji za tę decyzję! Nam wszystkim kościół Świętej Brygidy w Gdańsku kojarzy się z Tobą – Księdzem Prałatem Henrykiem Jankowskim. Kiedy przyjdziemy modlić się za Ojczyznę , za Solidarność, za Ofiary Grudnia, za sprawy ważne dla Polski i w osobistych intencjach będziesz zawsze z nami. W wyjątkowym Kościele, w sanktuarium wolności i solidarności, będzie żyła legenda o niezwykłym dumnym i niezłomnym kapłanie. Księżu Prałacie – Henryku Jankowski - Legendo Solidarności - Dziękujemy. Niech Pan Cię przyjmie do swojego królestwa.

Spoczywaj w pokoju.